

NA TROPIE

Rok II. Nr. 1—2.

Hasło dnia dzisiejszego.

Zbiegły się z końcem stycznia i z początkiem lutego „tygodnie" poświęcone dwom najgroźniejszym klęskom społecznym: przeciwgruźliczy i antialkoholowy.

Daje to sposobność do zastanowienia się nad niebezpieczeństwem zarówno tej najstraszliwsze u nas spustoszenia siejącej choroby, jak i nad zgubnemi skutkami pijaństwa.

We wszystkich kołach młodzieży oba te tematy trzeba omówić w najbliższym czasie i na omówieniu nie poprzestać.

Weszło już w zwyczaj urządzanie „dni" i „tygodni" dla spopularyzowania jakiejś idei, czy też zdobycia środków materjalnych dla jakiegoś przedsięwzięcia.

Mam nadzieję, że wszystkie koła młodzieży — zapewne już w okresie wielkiego postu urządzą niejeden, ale szereg dni, poświęconych zdobyciu funduszów na wyjazd do Poznania — w celu zwiedzenia Powszechnej Wystawy Krajowej.

Któż bowiem nie pragnie jej zwiedzić?

A będzie to wycieczka kosztowna Już dziś w Poznaniu daje się odczuwać drożyzna artykułów pierwszej potrzeby — wynik wzmożonego zapotrzebowania.

Dlatego też trzeba myśleć o funduszach, o ich zdobyciu, o oszczędnościach.

Wysuwa się tu jeszcze jedno ogólniejsze zagadnienie — problem planowości, konieczność ułożenia jakowegoś planu na nadchodzący okres, na rozpoczęty już rok.

Plan taki uprzytomni nam cel, do którego dążyć mamy, pracę naszą rozdzieli nam na etapy, pozwoli się kontrolować i wyznaczać wyczyny w poszczególnych czasokresach, jak i ostatecznie po całorocznym trudzie.

Posiadanie planu warunkuje zdobycie jakowychś rezultatów, skupienie energji i skierowywanie jej tam, gdzie potrzeba, by rezultaty te osiągnąć, warunkuje nam zrobienie ostatecznego rachunku sumienia, kiedy porównamy zamierzenia z wynikami.

Pomyślcie, czy wasze życie i wasza praca jest planową?!

Czy wiecie?

Z POLSKI.

— W Krakowie przez styczeń była otwartą okręgowa wystawa szkolna. Zaznaczyła się ona jako wspaniały pokaz wysiłków 10-letniej pracy w okręgu szkolnym krakowskim. Reprezentowane były działy: religijny, etnologiczny, geograficzny, biologiczny, fizyczny, historyczny, mineralogiczny, fizyczny, humanistyczny i polonistyczny.

— Dzięki przyłączeniu podmiejskich osad stały się Katowice stutysięcznem miastem. Ale wzrosła ostatnio i Królewska Huta przez przyłączenie Chorzowa i Nowych Hajduk. Podobnie za kordonem powiększyli Niemcy rozmiary Gliwic, Zabrza i Bytomia, tworząc z nich stutysięczne miasta. Miast takich jest więc dziś po obu stronach granicy razem ze Sosnowcem sześć.

— Wskutek emigracji optantów do Niemiec zwiększył się odsetek Polaków w województwach zachodnich. Gdy więc w r. 1921 miało województwo poznańskie 16.7%, a Pomorze 18.8% Niemców, dziś odsetek ten w obu województwach waha się koło 10%. Natomiast nie zaznaczył się tak intensywny odpływ Niemców na Górnym Śląsku, gdzie Niemcy stanowią około szóstą część ludności.

— W roku 1921 liczyła Polska 27,200.000 ludności. Dziś ludność Polski dochodzi do 30,500.000 mieszkańców. Corocznie bowiem przybywa nam około 400.000 nowych obywateli po potrąceniu zgonów i emigracji do innych krajów.

— W rzędzie nowobudowanych kolei wybija się na pierwszy plan wielka linja węglowa ze Śląska do Gdyni długości przeszło 500 km., która przetnie całą Polskę z południa na północ przez Herby, Zduńską Wolę, Inowrocław, Bydgoszcz, Czersk, Kościerzynę. Roboty nad nią są w pełnym toku na wielu odcinkach, z których niektóre oddane zostały już dla ruchu. Ze względów wojskowych idzie ona prawym, wschodnim brzegiem Warty, Noteci i Brdy, aby one chroniły ją przed najazdem niemieckim w ewentualnej wojnie.

— W Polsce przybyło w r. 1927 równe 5.000 samochodów. Przypuszczać należy, że liczba ta była jeszcze wyższą w r. 1928, że więc wobec tego ma dziś Polska 30.000 samochodów.

— Nasze lotnictwo komunikacyjne istnieje od r. 1921. Droga wykonana przez te samoloty w r. 1927 wynosiła 1,100.000 km. a przewieziono 7500 pasażerów. Samoloty więc polskie wykonały drogę równą trzechkrotnej odległości z ziemi na księżyc.

— Najrozmowniejszymi w Polsce są Toruńczycy i Torunianki, bowiem na mieszkańca wypada tam rocznie 423 rozmów telefonicznych, na Wilnian względnie Wilnianki 385, Poznańczyków 314. Natomiast i Krakowianie i Katowiczanie są milczący, bo mówią 180, względnie 99 razy rocznie.

— W roku 1927 wprowadziliśmy do kraju 1081 filmów obcych długości 1200 km. Wyprodukowaliśmy zaś w Polsce 103 filmy długości 53 km. W rzędzie importerów na pierwszym miejscu stały Stany Zjednoczone z 620 obrazami, później Niemcy (217) i Francja (173).

— Najwięcej telegramów w Polsce nadaje Warszawa (miljon rocznie), później Lwów (324.000), Kraków (309 tys.), Poznań (268 tys.), Wilno (189 tys.), Katowice (169 tys.), natomiast na jednego mieszkańca przypada najwięcej telegramów, bo aż 4.1 rocznie — nie uwierzycie — w Nowogródku, gdy dla Warszawy ta liczba wynosi 0.9, dla Poznania 2.1, Krakowa 1.7, dla Katowic 1.6.

— Najwięcej uczęszczają do kina w Polsce Lwowianie, bo przeciętnie 7 razy rocznie, później Warszawiacy (6.6), Katowiczanie (6.5), Krakowianie i Łodzianie (5.9). Natomiast Poznańczycy chodzą do kina tylko 3.7 razy rocznie.

— Polskie Koleje Państwowe przewożą rocznie około 150 miljonów pasażerów t. zn. każdy obywatel pozwala sobie rocznie na 6 podróży.

— Przyrost naturalny ludności w Polsce wynosi 14.2% t. zn. że na tysiąc mieszkańców przybywa rocznie 14.2 nowych obywateli. Ustępujemy pod tym względem tylko Rosji (22.0), Japonji (15.6), Rumunji (14.4) i Bułgarji (15.9). Rodzi się natomiast na 1000 obywateli 31.6, umiera 17.4. Różnica między odsetkiem urodzin i zgonów daje nam przyrost naturalny.

— Z listów wysłanych z Polski zagranicę idzie 30% do Niemiec, 14% do Stanów Zjednoczonych, 10% do Francji, 7% do Rosji, 6% do Czechosłowacji, tyleż do Austrji i t. d.

POLSKA A OBCY.

— Prof. Dyboski z Krakowa, który odbył teraz podróż z odczytami po Stanach Zjednoczonych, został przedstawicielem na Polskę Fundacji Kościuszkowskiej stypendjalnej. Fundacja posiada już przeszło 120 tys. dolarów.

— 15. XII. otwarto w Brukseli wystawę sztuki polskiej. Otwarcia dokonała królewska para belgijska.

— Wileński teatr objazdowy „Reduta" pod dyrekcją Osterwy został zaproszony na występy do Ameryki, dokąd wyjedzie w lecie. Po drodze wystąpi w Pradze czeskiej, Paryżu i Londynie.

NAUKA I TECHNIKA.

— Znany angielski fizyk, Ernest Rutherford, stworzył konsorcjum celem poszukiwania radu w pokładach gliny w północnej Australji.

— W Sorbonie paryskiej (uniwersytet) utworzył rząd francuski nową katedrę: filmologji.

— Polskie Towarzystwo Geograficzne wystąpiło do 59 towarzystw geograficznych na całym świecie z inicjatywą złożenia hołdu pamięci Amundsena. Uroczystości te odbyły się 14 grudnia jako w rocznicę odkrycia przez Amundsena bieguna południowego.

HANDEL, PRZEMYSŁ I ROLNICTWO.

— W Wyrach koło Pszczyny powstaje nowa fabryka nawozów sztucznych na wzór fabryk w Chorzowie i Tarnowie. Ma być otwarta już w ciągu lata roku 1929.

— Zakończono już tworzenie państwowych rezerw zbożowych. Zmagazynowano 60 tysięcy tonn zboża.

Numer podwójny — cena 1 zł. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

NA TROPIE

PISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Rok II. Katowice, 15 lutego 1929. Nr. 1—2.

Pod znakiem sportu.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej, wprawiający się w arkana sportu narciarskiego w Zakopanem, to symbol epoki, w którą coraz to większemi krokami społeczeństwo nasze wstępuje, epoki prawdziwego zrozumienia wartości ćwiczeń cielesnych i stałego, wytrwałego uprawiania ich przez wszystkich bez wyjątku.

Zwrot do sportów i ćwiczeń fizycznych wśród szerokich mas objawił się początkowo biernem zainteresowaniem. Wszędzie garstka ćwiczących była przedmiotem obserwacji ogółu, który swój udział w życiu sportowem ograniczał do czytania komunikatów i gazet sportowych, do przypatrywania się najrozmaitszym zawodom i matchom i entuzjazmowania się ich zwycięzcami.

Stopniowo jednak bierny ogół, zapoznając się z życiem sportowem, z jego urokami i wartościami, które niesie z sobą, coraz liczniej zasilać począł szeregi sportowców. Równocześnie krystalizujące się od początku zeszłego stulecia przeświadczenie o znaczeniu tężyzny fizycznej jednostek dla życia narodu, znalazło swój wyraz w naukowem ujęciu wychowania fizycznego, które zwłaszcza w ostatnich latach, po wojnie światowej rozwinęło się w imponujący sposób przy pomocy Instytutów Wychowania fizycznego i wszelkiego rodzaju kursów szkolących fachowych instruktorów.



Widok na Mont Blanc.

Średniowieczna maksyma, że ciało, jako nędzna powłoka ukrywająca ducha ludzkiego, nie zasługuje na specjalną pieczę, lecz przeciwnie winno być gnębione i ograniczane w swym rozwoju, dawno już przestała być aktualną, odkąd zrozumiano, że duch, chcący używać ciała jako sługi do spełnienia swych zadań doczesnych, musi mieć tego sługę silnego i zdrowego.

Nie należy jednak zapominać właśnie o tem, że z takim zapałem uprawiane dziś sporty winny przedewszystkiem wywrzeć swój wpływ na duchowe wyrobienie ćwiczących mas, że nie mogą stać się jedynym i ostatecznym celem naszych dążeń rozwojowych.

Każdy zresztą sportowiec, a choćby jego początkujący adept wie, jaki wpływ na jego życie wewnętrzne ma to oddanie się pewnym systematycznym ćwiczeniom, podporządkowanie koniecznym rygorom, z pod których wyłamanie się odczuwa natychmiast dotkliwie na własnej skórze. Wie też, że to, co dodaje mu sił i zapału do ogromnych nieraz wysiłków, to możność realnego i konkretnego ocenienia rezultatów pracy, trudów i ćwiczeń. Zawody i rekordy, określające

i trwalszy w swej wartości: to zakres życia ducho-osiągnięcia pierwszeństwa, to poczucie, że żaden wysiłek nie idzie na marne, ale też żadne niedbalstwo czy opieszałość bezkarnie nie uchodzi, sprawiają, że w szeregi sportowe garną się wszyscy, których pociąga konkretny trud i możność wybicia się przez wytrwałość i pracę.

Błędnem jednak byłoby mniemanie, że tam tylko osiągamy realne wyniki naszych trudów, gdzie zmierzyć możemy je ilością przebytych metrów i spotrzebowanych minut. Istnieje ogromny zakres życia niedostrzegalny wprawdzie dla oka sędziego czy instruktora ćwiczeń fizycznych, lecz stokroć ważniejszy i trwalszy w swej wartości: To zakres życia duchowego, wymagającego niemniejszych ćwiczeń i ciągłej czujności, by nie „wyjść z formy“, by nie zostać na szarym końcu zawodników biegnących do mety o najważniejszą nagrodę życia.

Tylko sportowiec, który zrozumiał konieczność tego podwójnego treningu i który umie ocenić nietylko wartość wyników osiągniętych w przebytych kilometrach, staje w szeregu tych, którzy torują drogę przyszłemu człowiekowi, służącemu swem zdrowem i wysportowanem ciałem zdrowemu i silnemu duchowi.

Wielkopolska kolebką Państwa Polskiego.

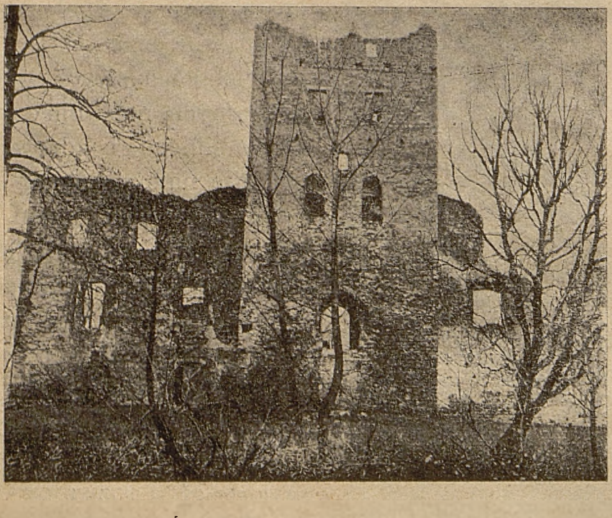
Wielkopolska, przyjąwszy na siebie trud urządzenia Powszechnej Wystawy Krajowej, staje się ośrodkiem ogólnego zainteresowania.

Zapoznanie się z jej wartościami pragniemy ułatwić czytelnikom szeregiem artykułów.

Redakcja.

Ziemia Polan nad Wartą i wokół Gopła to kolebka Państwa Polskiego. Wielkopolska było tą dzielnicą, której władcy w czasach jeszcze przedhistorycznych rozpoczęli tworzyć Państwo Polskie, — łącząc wokół swojego ośrodka plemiennego ziemie inne: Kujawy i Małopolskę, Śląsk i Mazowsze. Ziemia ta, zresztą może prędzej niż inne, przeznaczoną była do odegrania przodowniczej roli. Odkryta, nie porośnięta lasem, a tylko obejmująca wielkie pola — poliska, jak mówiono, ułatwiała pracę na roli, — uprawę zbóż. Jeden z jej grodów Żnin ma podobno łączyć swą nazwę ze żniwem. Z rodu oraczy-wieśniaków wywodzono jej książęta Ziemowita i nie było w tem żadnej ujmy dla dynastji Piastów, skoro podanie to notuje dworski historjograf. Poza przodownictwem politycznem, już w zaraniu naszych dziejów historycznych posiadała Wielkopolska przodownictwo religijne, a z niem i kulturalne. Tu postawiono w r. 966 pierwszy raz w Polsce krzyż Wiary Chrystusowej, — w grodzie poznańskim zbudowano pierwszy kościół. W Wielkopolsce przebywał pierwszy biskup misyjny Polski Jordan. Z nad Warty szły więc prądy nowej religji, z nad Gopła zlecenia i rozkazy książąt. A wreszcie trzeci czynnik podnoszący Wielkopolskę do stanowiska pierwszej ziemi państwa pierwszych Piastów, to jej kresowe położenie względem cesarstwa niemieckiego. O nią rozbijały się fale najazdu margrabiów niemieckich. Na nią przedewszystkiem zwrócone były oczy książąt, broniących swego kraju. Jej rzeki stanowiły linję obrony niepodległości państwa. Czy to będzie pierwszy znany historycznie bój z r. 963, — pierwszej wogóle historycznej wzmianki o kraju Polan nam dostarczający — czy szesnastoletnie walki Chrobrego króla — czy długie i zawzięte boje Krzywoustego, czy wreszcie haniebny hołd Krzyszkowski z 1157 r. — zawsze o Wielkopolskę (obok Śląska) bije taran zaciekłości pruskiej, ona stanowi ośrodek walk polsko-niemieckich.

Z CYKLU: ZABYTKI G. ŚLĄSKA.



(Ze zbiorów Muzeum Śl. w Katowicach) fot. Dr E. Lepkowski.

Ruiny zamku w Chudowie (pow. Rybnik) od strony wjazdowej.
(Są to jedne z nielicznych ruin, pozostałych na Śląsku.)

Pierwsi dwaj historyczni władcy Polski, Mieszko i Bolesław Chrobry, rezydowali stale w Gnieźnie, o ile w tych czasach, kiedy król był t. zw. „rex ambulans“, o stałej rezydencji mówić można, a posągi ich w złotej kaplicy katedry poznańskiej połączyły na zawsze imiona ich z tą dzielnicą. Mieszko, — budowniczy państwa polskiego — jak go słusznie nowa nauka nazwała — ugruntował obszar i zakreślił w głównych zarysach rozmiary nowego państwa, uczyniwszy z Wielkopolski ośrodek swych rządów; — syn jego Bolesław Chrobry podniósł księstwo ojca do godności królestwa, oraz zapewnił mu niezależność kościelną. Oba te dzieła na ziemi Wielkopolan zostały dokonane, oba związane są z Gnieznem, naczelnym wówczas grodem Polski.

Z końcem wieku X przybył na dwór księcia Polski, Bolesława, wygnany przez swych rodaków Wojciech Sławnikowic, biskup Pragi. Był on w Rzymie, gdzie szukał ukojenia, przebywał w klasztorze, który miał być dla niego schronieniem na resztę dni jego życia. Lecz wewnętrzny nakaz „śmierci w Chrystusie“ dla nawrócenia pogan, kazał wędrować mu na północ. Celem jego Prusy, a droga tam prowadząca, szła przez państwo Bolesława. A państwo to jeszcze samo potrzebowało kaznodziejskiej nauki, wszak obok Gniezna habitu zakonnika jeszcze nie widziano, wszak wybijaniem zębów karał Bolesław przekroczenie postu. Toteż biskup Wojciech „kazał“ i po drodze, w Krakowie i koło Sącza, a przedewszystkiem w Wielkopolsce, gdzie zostawił trwały ślad swej działalności w postaci założenia klasztorów w Trzemesznie i Łęczycy, jak chce lokalna tradycja. Ale dążył do Prus, — dążył nauczać i znalazł tam to, czego szukał. 23 kwietnia 997 napadnięty przez Prusaków zginął za wiarę śmiercią męczeńską. Ciało jego wykupił Bolesław na wagę złota i umieścił w kościele N. P. Marji w Gnieźnie. Bezpośrednio potem papież Sylwester drugi policzył Wojciecha w poczet świętych.

Zbliżał się rok 1000. Nastrój tysiąclecia, spodziewany koniec świata, poruszył umysły współczesnych. Osobisty przyjaciel świętego Wojciecha, Otto III, najszlachetniejszy z cesarzy narodu niemieckiego, dążył do Wielkopolski, do Gniezna, by pomodlić się u grobu męczennika. Ujęty potęgą Bolesława, jego charakterem i rozumem, nosił się młodociany Otto z myślą oddania księciu Polski całej korony cesarskiej, sam pragnął zakończyć życie

w ascezie klasztornej. Podniósł tymczasem księcia Polski do godności króla na t. zw. koronacji gnieźnieńskiej; uznał kościelną niepodległość Polski z arcybiskupstwem gnieźnieńskiem na czele, co było zakończeniem wcześniejszych prawdopodobnie starań Chrobrego. Gniezno stało się w ten sposób stolicą religijną, rezydencją najwyższej wła-

Z CYKLU: ZABYTKI G. ŚLĄSKA.



(Ze zbiorów Muzeum Śl. w Katowicach) fot. Dr E. Lepkowski.

Dzwonnica przy kościele w Nowym Sadowie (pow. Lubliniec.)
(Ciekawy przykład połączenia architektury murowanej z drewnianą, tak często spotykaną na Śląsku.)

dzy duchownej w królestwie. Święty męczennik odwdzięczył się stokrotnie za opiekę Bolesława dla niego i jego brata, za złoto ofiarowane za jego ciało, zdziałał po śmierci więcej, niżby mógł w całem swem życiu dla przybranej swojej i swego rodu ojczyzny. Ród bowiem świętego Wojciecha związał się bliżej z Wielkopolską. Wśród rodowej waśni w Pradze wymordowano książąt Sławnikowiczów, braci świętego Wojciecha. Ocalały niedobitki, które schroniły się w Polsce. Nie wrócili już oni do Czech. Obdarzeni i przyjęci w poczet polskiego rycerstwa przez Bolesława Chrobrego, osiedli w Polsce i w ziemi Pałuckiej dali początek możnemu w Polsce wieków średnich rodowi Pałuków.

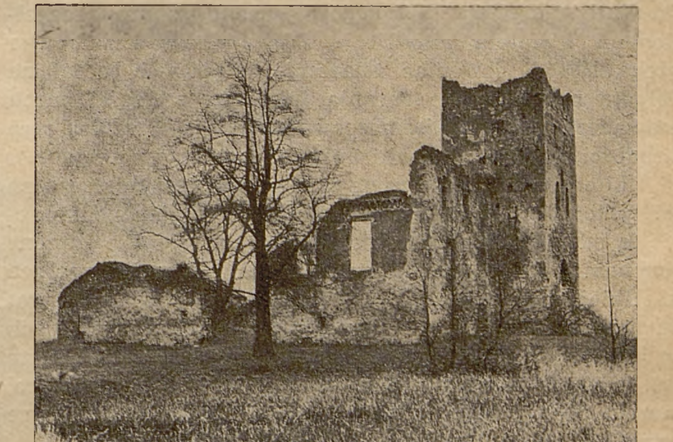
Tymczasem po latach świetności czekały Wielkopolskę ciężkie chwile. Rządy tragiczne mężnego, ale nieszczęśliwego, Mieszka II, — reakcja społeczna i pogańska warstw niższych za jego syna Bolesława Zapomnianego, — tragiczna nagła śmierć czterech po kolei książąt Polski, — a do tego najazd księcia czeskiego Brzetysława w 1038 roku, — dokonały ruiny. Polska straciła, co miała najdroższego: relikwje świętego Wojciecha, a z niemi niepodległość kościelną; straciła koronę wywiezioną do Niemiec, a z nią niepoległość polityczną i charakter jednolitego królestwa. Wielkopolska ucierpiała może najbardziej. Ludność w wielkiej ilości popędzono do Czech z wojskiem Brzetysława. W ruinach katedr gnieźnieńskiej i poznańskiej dzikie zwierzęta założyły swe legowiska. Kraj z biciem serca wyczekiwał lepszych chwil. I wreszcie one nadeszły.

W granicach Polski zjawił się jedyny pozostały z dynastji Piastów Kazimierz, by rozpocząć odnowicielskie rządy. Lecz kroki swe skierował nie ku dawnej stołecznej ziemi i Gnieznu. Kraków i Małopolska w tem kilkuletniem zamęcie najmniej ucierpiały. Stąd więc rozpoczęto pracę organizatorską. Tu działa Kazimierz, w Krakowie odnawia arcybiskupstwo Polski w r. 1049. Następca i syn jego, Bolesław Śmiały, w Krakowie ma swą rezydencję. Wprawdzie po r. 1059 wraca już arcybiskupstwo do Gniezna, w którem trwale już odtąd pozostaje zwierzchnia władza kościelna Polski, — lecz ośrodek polityczny pozostał w Krakowie, choć po tragicznym końcu Śmiałego brat jego, Władysław Herman, po zabójstwie świętego Stanisława przenosi swą rezydencję do Płocka, a nie do dawnej stolicy Gniezna. A testament syna jego Bolesława Krzywoustego przesądza kwesję Krakowa, ustanawiając zeń stolicę dzielnicowej monarchji polskiej. Odtąd prawnie na zasadzie senjoratu Kraków, a z nim i Małopolska zajmują naczelne miejsce w państwie. Ale w tych czasach Krzywoustego i epoki dzielnicowej mimo utraty swego naczelnego stanowiska odegrała Wielkopolska inną rolę niemniej dla całej Polski zasłużoną.

Orle oczy Krzywoustego zwrócone były na północ ku pogańskiemu Pomorzu. Pragnienie schrystjanizowania tego kraju i przyłączenie go do Polski, poczynające się jeszcze w ostatnich latach rządów Władysława Hermana, — postanowił wprowadzić syn jego w czyn. A Wielkopolska dostarczyła mu przedewszystkiem jednostek do nawrócenia podbitych ziem, a i wielu rycerzy. Pierwszą katedrę ziem pruskich objął kanonik Wojciech, towarzysz misyjny świętego Ottona, zapewne Wielkopolanin. Biskup Chrystjan i Cystersi z klasztoru w Łęknie, to późniejsi misjonarze na tym terenie, a klasztor łęknieński to fundacja rodu Pałuków. Lecz ziemie te w całości nie weszły w skład Polski, — część ich utracono w 1308 roku na długo, Gdańsk wzięty zdradą i podstępem został niemieckim, a kraje nad Wartą stają znów oko w oko z chciwym ziemi Niemcem.

Ale w epoce Polski dzielnicowej w chwili upadku jedności, w czasach partykularyzmu i walk dzielnicowych, choć ginie coraz więcej pierwotne znaczenie Wielkopolski, jednak reprezentuje ona większą siłę, niż inne księstwa. Obszarem swym i szeregami dzielnych książąt rywalizuje z Małopolską. Książęta początkowego okresu rozbicia, to epigoni absolutnej władzy, jak Mieszko Stary i Władysław Laskonogi. Pragną oni bezskutecznie utrzymać dawną świetność i władzę księcia. Książęta późniejsi myślą o przywróceniu korony — i w Wielkopolsce książę Przemysław koronuje się w Gnieźnie w roku 1295 na króla , lecz już niedługo potem 8 lutego 1296 pada zamordowany w Rogóźnie. Po nim w Gnieźnie koronuje się parę lat później na króla polskiego Wacław Czeski, lecz rządy jego nie trwają długo.

Z CYKLU: ZABYTKI G. ŚLĄSKA.



(Ze zbiorów Muzeum Śl. w Katowicach) fot. Dr E. Lepkowski.

Ruiny zamku w Chudowie (pow. Rybnik) od strony bocznej.

Małopolska tymczasem uzyskuje utracone królestwo — w osobie niezłomnego księcia-tułacza, Łokietka. Od r. 1320 Kraków staje się miastem koronacyjnem i rezydencjonalnem królów Polski. Łokietek i Kazimierz Wielki tłumić muszą separatyzm wielkopolskiej dzielnicy, pragnącej powrócić na utracone stanowisko. Po latach to się udaje i monarchja Jagiellonów zastaje już jednolite i skonsolidowane państwo. A choć dobrze, że separatyzmy dzielnicowe zaginęły bezpowrotnie, że Polska cała jest i zjednoczona, — cały naród nie powinien zapominać o kolebce swej nad Gopłem i Wartą, — o roli, jaką ziemia wielkopolska w zaraniu naszych dziejów odegrała i wdzięcznem sercem odnosić się do niej i jej historycznych pamiątek. *Empe.*



ODWAGA.

Duch chrześcijański wymaga od nas, abyśmy byli odważnymi. Ale o jakiego rodzaju odwagę tu idzie? Dawniej można było odwagę okazać najlepiej przez dzielność w walce orężnej lub przez spełnienie dobrego czynu, pomimo grożącego niebezpieczeństwa. To też uosobieniem odwagi jest św. Jerzy zabijający smoka. Życie nastręcza nam nieraz sposobność do okazania dzielności — przez ratowanie ludzi z płonącego domu, przez pomoc tonącym itd. Ale i wśród codziennych zajęć lub zabaw — jazdy konnej, żeglarstwa, spinaczki górskiej, narciarstwa można poznać, czy ktoś jest odważnym czy nie. Są to jednak wszystko zewnętrzne znamiona odwagi.

Istnieje jeszcze odwaga, która jest o wiele trudniejszą, a zarazem o wiele mniej efektowną od tej, o której wyżej wspomniałem, jest to odwaga wewnętrzna. Człowiek posiadający ją, bywa zwykle także odważnym na zewnątrz — ale nie naodwrót i wielu ludzi, dzielnych w życiu zewnętrznem bywa tchórzami, gdy idzie o sprawy sumienia. A jednak dopiero ta zewnętrzna odwaga stanowi o charakterze jednostki.

Czy pomyślałeś kiedy o tem, ile potrzeba odwagi, aby wyznać prawdę? Aby się przyznać do winy? Aby w miłem ci towarzystwie, w którem obmawiają lub wyśmiewają się z kogoś, stanąć w jego obronie, choćbyś przedstawił siebie przez to w gorszem świetle? Aby przeprosić wobec gości służącą, do której się niedelikatnie odezwałeś? Aby, gdy idziesz ulicą w wytwornem towarzystwie, ukłonić się twojej stróżce lub jegomościowi w obdartym płaszczu? Aby wśród hulających kolegów przyznać się do zdrowych obyczajów? Aby nie przyzwolić sobie na poufałość, którejbyś się wobec drugich musiał wstydzić, z kobietą, dlatego tylko, że wiesz, że ma do ciebie słabość?

Oto nad czem warto się chwilkę zastanowić, oto nad czem warto popracować, jeżeli chcemy być nie niewolnikami, lecz panami życia.

Jan P. G.

Mieczysław Romanowski, poeta czynu.

Upadek powstania listopadowego nałożył żądnemu wolności narodowi nowe okowy. Zbrojny protest narodu nie zdał się na nic. Na zgliszczach wyrósł las szubienic, jako symbol przemocy, dokonującej ostatecznego dzieła. Zaludniły się szlaki mroźnego Sybiru kibitkami, przepełnionemi kwiatem młodzieży. Zahypnotyzowany potęgą wroga Naród, dzwoniąc żelazami, wstępować począł na Golgotę męki. Zgasło zaranie jutrzenki wolności, mrok nocy rzeczywistości kirem spowił naród. Kaci zatarli ręce z radości, myśląc, że zabili duszę pokonanego olbrzyma.

Literatura, przytłoczona butem cenzury, miała jeden cel tylko: uratować duszę narodu od zwątpienia i uchronić ją od spodlenia. Zadanie było ciężkie, gdyż ogluszone obuchem klęski społeczeństwo, niełatwo dawało posłuch wszelkiej myśli czynu, jaką mu literatura posuwała. Zwrot ku przeszłości, odzwierciedlenie pewnych epok, w których po burzliwym dniu wyszło słońce, by wypić rosę krwi, oto był jeden ze środków, jakimi rozporządzając literatura, zaczęła podniecać iskierkę nadziei w lepsze i jaśniejsze jutro.

Poezja pielęgnować poczęła myśl niepodległą, a wyrazicielami jej stali się nietylko poeci, ale przedewszystkiem ci, którzy w jej obronie nie zawahali się położyć życia — powstańcy. Do takich ludzi, którzy śmiercią swoją na polu bitwy zadokumentowali, że nie było u nich rozdźwięku między pieśnią a czynem, należy poeta-powstaniec Mieczysław Romanowski.

Urodził się w Żukowie 12 kwietnia 1834 roku. Ojciec jego Erazm był człowiekiem zasad niezłomnych, pustych rozważań nie lubił, czasu na słowa nie zwykł tracić, a jedyną myślą jego był czyn, który wypływał z gorącej miłości Ojczyzny. Nic więc dziwnego, że Mieczysław, przesiąknięty nawskróś zasadami ojca, wprowadzał w życie jego myśli, tak odpowiadające charakterowi przyszłego twórcy „Dziewczęcia z Sącza".

Całą narodową przyszłość, w swoich utworach spowił w pioruny i burze, a

„Każdy piorun co grzmi i zapala
Wita, jak brata na niebios lazurze;
Orła każdego, co powraca zdala,
Pyta ile jest gromów w czarnej chmurze;
Bo nam na gromy długo czekać może,
Bo bez piorunów w takiem utrapieniu
Straszno mi Boże!"

A sam o sobie powiada:

„Jam przedburzowiec, przeklęte plemię,
A może z piorunów jeden"...

W tych słowach zamknął poeta charakterystykę siebie, jako człowieka. Wieści burzę, bo ona jest jego żywiołem, o niej wciąż myśli, marzy i o nią się modli:

„Dziś kocham przyszłość od gromów czerwoną,
Która ojczyźnie mojej z niebios zleci.
Gdy cisza święta ogarnie mi łono,
Ten dzień, ta chwila tak przedemną świeci,
Że — proch — przed Bogiem z radości w proch padam,
Bo czuję, że sam w ręku gromem władam".

Uniesion świętym zapałem woła:

„Aresie! naprzód na strasznym rydwanie
Z mieczem, z pochodnią, z włócznią zleć, Aresie!
Bo milszem nam jest włóczni twych błyskanie
Od gnuśnej ciszy..."

Szczęk oręża i błysk włóczni przenosił ponad ciszę, bo zdawał sobie sprawę, że z samej ciszy, ze samych słów Polska nie powstanie nigdy. Do słów i pracy potrzebny jest czyn, by te słowa nabrały należytego dźwięku, a praca — podstawy.

„Nie patrzcie, czy wam przypadnie plon zbierać
Naprzód! — a z piersią do poświęceń zdolną!
I nauczycie się co dnia umierać —
Ale rozpaczać nigdy wam nie wolno."

W ślad zatem nadchodzą chwile zwątpienia, w których poeta pyta: „A czy zwyciężym?“ a ten moment chwiejności tłumi okrzykiem:

„Audaces iuvat fortuna.“

Rok 1861 dość silnie zaznaczył się w twórczości Romanowskiego, a wiersze, które w tym roku powstały, są pisane krwią patrjoty, z przerażeniem słuchającego wieści z Warszawy, gdzie na Placu zamkowym spłynęła krew niewinnych ofiar. Echa tych zajść znajdujemy w „Modlitwie“, „Dzieweczce“ i wreszcie w przecudownym i najsilniejszym wierszu, jaki wydała poezja Polski, zakutej w kajdany w „Pieśni młodej wiary“.

„Pieśnią“ dodaje otuchy wszystkim, wdmuchując iskierkę nadziei w zwątpiałe serca.

W górę serca, świat się pali,
Sądy Boże głosi dzwon,
Próchno zbrodni w gruz się wali,
W gruz przemocy leci tron.
Dość już kajdan, łez i kłamstwa dróg.“

I coraz częściej zaczyna się zastanawiać Romanowski, czy godzi mi się, jako patrjocie, śpiewać tylko o niedoli swej ojczyzny, i czy nie będzie lepiej dla kraju, jeśli schwyciwszy za broń, uderzy w przeciwnika.

I coraz częściej w jego utworach przebłyskują się pioruny, a świt wolności jaśnieć zaczyna w łunie pożarów

„Jutro burza, jutro rykną gromy!
Pan je wszystkim nad głową zapali,
Pan zbrodniarza oczom niewidomy
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali.“

I owo jutro tak upragnione, przesycone burzą niebawem nadejść miało. Rok 1862 upłynął poecie wśród gorączkowej pracy, a styczeń roku następnego przyniósł pierwsze wiadomości o powstaniu w Kongresówce. Bez chwili namysłu, bez cienia żalu, zaciągnął się w szeregi „ptactwa Bożego“, jak nazywał powstańców, by niezadługo opuścić je na zawsze.

Bez rezygnacji poszedł w bój za Tę, którą umiłował. Ostatnim jego wierszykiem jest utwór „Na rozstanie“.

„Za was róże! za rodziny
W bój za naród z pól i chat!
Ach! dalekim tej godziny
Łzami długich lat“.

Niebawem cała ziemia polska krasną się stała od czerwonych rogatywek i czerwieńszej krwi przelanej. Szum lasów i borów grał surmę bojową, gorące serca werbel biły rozgłośny, a szarą burkę powstańca okrył majestat narodu.

Niedługo jednak walczy Romanowski, bo oto dnia 24 kwietnia 1863 „odcięty od głównego oddziału — w lasach Józefowa — na czele 80 ludzi, wsparty przemożną siłą następującego nieprzyjaciela na bagna, walczył jak lew, drogo sprzedając swe życie. Silny i wprawny do robienia bronią, pięciu Moskali powalił bagnetem, nim ugodzony kulą w skronie padł, otoczony wałem trupów. Rozwścieczone do najwyższego stopnia tą bohaterską obroną żołdactwo moskiewskie, rzuciło się na poległego, a pastwiąc się już nad trupem, zadało mu sto kilka ran, tak, że znaleziony na pobojowisku, wśród ciał sałdatów, był prawie nie do poznania“[1]).

I spełniły się jego prorocze słowa:

„Niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały...
Tam na pola przyjdę — tam o mnie zapytaj
Cieniu biały...“

Śmierć jego to ostatni dowód, że romantyzm był ideą czynu, której rezultatem okazało się powstanie styczniowe.

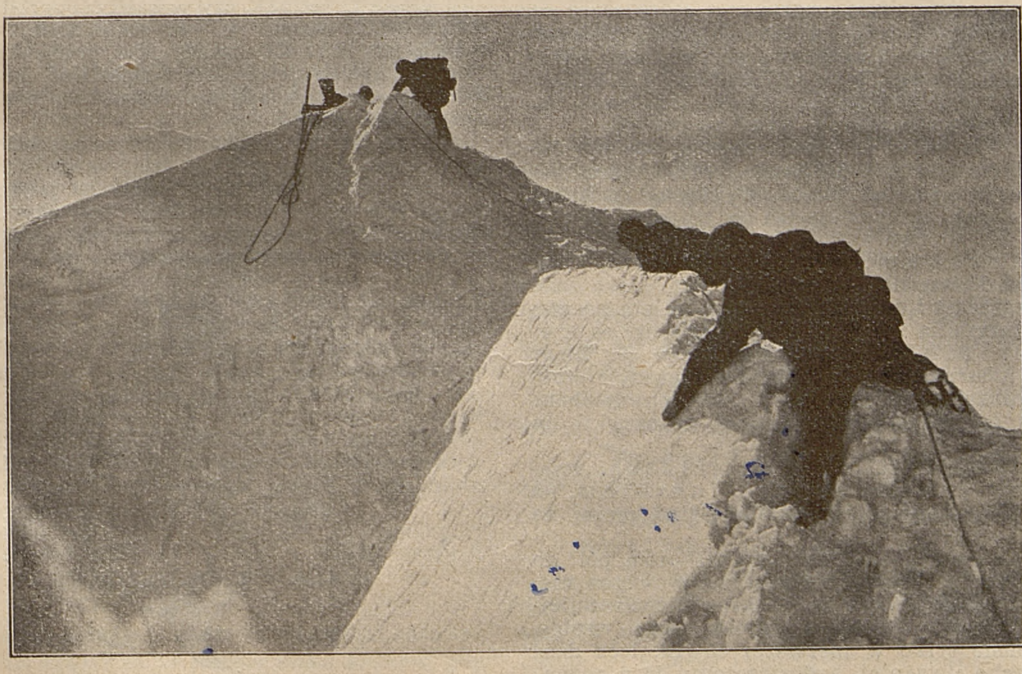
Charakteryzując teraz lirykę autora „Pieśni młodej wiary“ przyznać musimy, że każda strofa, każdy wiersz dźwięczy czynem i to czynem niepospolitym, bo chęcią spełnienia ofiary za Ojczyznę. Przeczucie śmierci ze smutkiem połączone, jak srebrna nić przewija się przez utwory Romanowskiego. Do pesymizmu miał jeden krok tylko, ale wiara w zwycięstwo, wiara w zmartwychwstanie Polski nie dozwoliła na to poecie.

Święte jest imię naszych wielkich szermierzy, albowiem z ich posiewu krwi powstała wolność nasza.

Stanisław Sierotwiński.

---

[1]) Z opow. naocznego świadka.



Na grani.

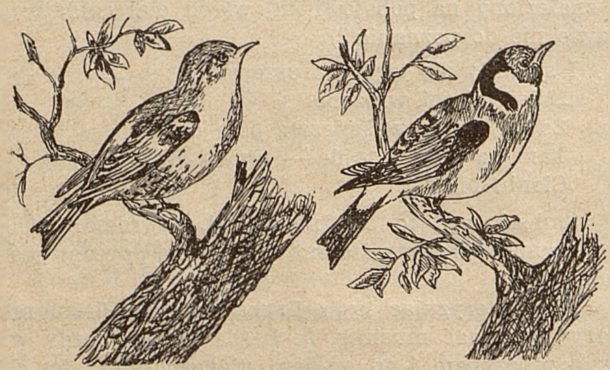
Jakie ptaki można zobaczyć u nas w zimie?

„Święta Agnieszka (21 stycznia) wypuszcza skowronka z mieszka" — powiada dawne przysłowie, tyczy się ono jednakże chyba tylko bardzo łagodnych zim, nagół bowiem trudnoby było znaleźć u nas w styczniu skowronka na polu, a cóż dopiero w taką ostrą zimę jak tegoroczna.

Zima nie jest porą sprzyjającą ptakom: chłód i brak pożywienia, ci stali jej towarzysze utrudniają, a częstokroć wręcz uniemożliwiają życie tym skrzydlatym stworzeniom.

Dlatego to nie widać u nas zimą tylu ptaków, co latem; dlatego nie słychać tyle wesołego ich świergotu i pisku.

Ale nie można powiedzieć, żeby ptaków nie było u nas wcale w zimie. Przeciwnie koło mieszkań, w ogrodach i na drogach wiejskich jest ich do pewnego stopnia nawet więcej niż w lecie, bo przybywają jeszcze różne ptaki z pól i lasów, szukające jadła w sąsiedztwie ludzi.



Czyżyk i szczygieł.

Wśród nich na pierwszy plan wybijają się szare wróble, których wszędzie jest pełno, czy to na wsi, czy w mieście, których nie braknie nigdzie, gdzie tylko są ludzie i ludzkie zabudowania.

Kręcą się, skaczą, fruwają, świergocą, kłócą się i czubią, wydzierają sobie wzajemnie jadło, słowem „wielki czujecie gwar" jak powiada o nich piosnka, a czynią go tak zawsze i wszędzie, że nie zwracamy na nie uwagi i mówimy nie patrząc nawet: „wróble uwijają się przy domu lub na drodze!"

A jednak, gdy się przyjrzymy uważniej tej skrzydlatej gromadce na zimowym gościńcu, z łatwością zobaczymy, że tam są nie same tylko wróble.

Przecież to nie wróbel, ten oto ptaszek, podobny wprawdzie do niego barwą z grzbietu i postaci, ale i większy trochę i trochę grubszy, a co najważniejsza z brzuszkiem żółtawym i taką główką. Dzięki tej domieszce żółtej barwy tylko zdaleka można go wziąć za wróbla.

To trznadel, bliski krewniak naszego szarego zawadjaki, nie związany jednak tak ściśle z człowiekiem jak on, zjawia się bowiem na gościńcach wiejskich i podmiejskich jedynie w zimie, lato zaś spędza na polach i łąkach. Samiczka jego, jak to przeważnie bywa u ptaków, jest skromniej ubarwiona, z mniej wyraźną żółtą barwą i dlatego podobniejsza do wróbla.

Albo i ten zgrabny i miły ptaszek z czubkiem na głowie i długim pazurem na tylnym palcu — przecież to również nie wróbel? Podobny wprawdzie nieco do niego z ogólnego tonu ubarwienia, ale wybitnie większy i smuklejszy, z nieco dłuższym ale zato nieco cieńszym dziobem, nie mówiąc już o tym charakterystycznym czubku na głowie.

Któżby nie wiedział, że to jest dzierlatka, zwana także śmieciuchą albo pośmieciuszkiem, na znak, że lubi szukać żeru w śmietnikach albo raczej na drogach.

I ona jest tak samo jak trznadel mieszkanką pól: do ludzi ściąga jedynie na zimę, zjawiając się wówczas nietylko na drogach wiejskich, ale nawet i na ulicach mniejszych miast, po których uwijają się gromadkami wróble. Niknie w ich masie tylko w pierwszej chwili, lecz dość spojrzeć choć trochę uważniej, a dostrzeżemy ją i poznamy zaraz, chociażby po tym czubku.

Zatem już na ziemi zauważyliśmy 3 gatunki ptaszków, choć początkowo wydawało się nam, że są tam same tylko wróble.

Na drzewach naturalnie znajdziemy ich jeszcze więcej, bo chociaż jest ich tam obecnie mniej niż w lecie, ale zato nie osłania ich wcale gąszcz liści.

No i naturalnie zobaczymy tam przedewszystkiem te same wróble, ale obok i małe, zgrabne a przyjemne, ruchliwe i wesołe sikorki. Jest ich u nas kilka gatunków. Najbardziej znaną i najbarwniejszą jest sikorka zwana bogatką z powodu bogatych barw swojego stroju: wprawdzie nie nazbyt jaskrawych, ale ładnych i urozmaiconych.

Strojnisia z niej nielada; ubrana w zielony kubraczek z błękitnemi połami, w żółtą kamizelkę z czarnym krawatem i czarną czapeczkę na głowie, uwija się dzień cały po gałązkach, krótkim, ale ostrym dzióbkiem wybierając jajka i pędraki owadów z pod kory i z samej kory.

Oprócz tej bogatej sikorki są i inne w naszych ogrodach, zwane to ubogiemi, to jeszcze inaczej. Kto jest ciekawy, jak wyglądają, niechaj je wytropi i obejrzy zdaleka: z postaci są zupełnie podobne do bogatki, więc poznać ją nie trudno, a jakie mają barwy, najlepiej przekonać się samemu.

Zato ten szaro-zielonkawy ptaszek, co siedzi tam na olszy i wyciąga nasiona z jej szyszek, to nie jest sikorka. Mały, znacznie mniejszy od wróbla, a nawet od bogatki, z postawy jest raczej podobny do szarego mieszkańca naszych podwórek niż do kręcickiej sikorki i ma nawet tak samo krótki, gruby dziób, a nie spiczasty jak ona. Jest to czyżyk, który należy razem z nim do rodziny łuszczaków, mających nazwę właśnie od swych grubych dziobów, któremi wyłuskują jądra z różnych ziarn. Wróbel wyszukuje je zimą na ziemi, czyżyk na drzewach, zwłaszcza chętnie jada nasiona olch, wydobywując je z szyszeczek wiszących na tych drzewach całą zimę.

Łuszczakiem jest też barwny, ładny szczygieł, większy nieco od czyżyka, ale mniejszy od wróbla, jeden z barwniejszych naszych ptaków, bo w upierzeniu jego znajdziemy dość jaskrawych kolorów: i brunatny i żółty i czerwony, jakgdyby go kto pokropił różnemi farbami.

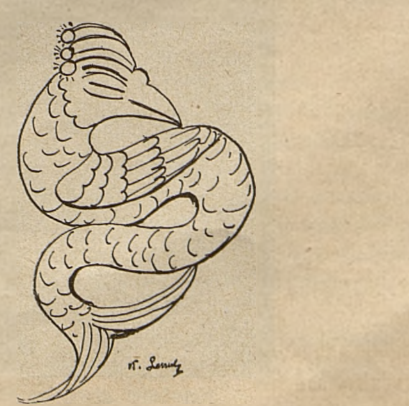
I on jest amatorem nasion, a do przysmaków jego należą zwłaszcza ziarenka różnych ostów, które wyciąga bardzo zgrabnie za wieńczący je puszek. To też łatwiej go spotkać na polu, zalatuje jednak i do ogrodów.

Wróble, trznadle, dzierlatki, sikory, czyżyki, szczygły — to niezgorsza gromadka ptasząt, które na zimę ożywiają drogi, pola i ogrody.

Ciekawe jednak, czy w każdym ogródku, czy w każdej miejscowości można je wszystkie zobaczyć. Czy wszędzie znajdą się one? Czy każdy, kto przeczytał tę pogadankę, może z zupełną pewnością powiedzieć, że je wszystkie widział tej zimy? A jeśli nie wszystkie, to których mianowicie nie zauważył.

A co jeszcze ciekawsza, może oprócz nich widział kto jakie inne ptaszki i jakie mianowicie?

Nie są to bowiem bynajmniej jedyne ptaszki, jakie można zobaczyć u nas w zimie: jest jeszcze sporo innych, ale rzadszych i mniej pospolitych, a więc trudniejszych do zauważenia, zato tem ciekawszych.



Ze szkiców prof. K. Laszczki.



Tajemniczy skaut

Opowieść E. Le Breton Martina przerobił M. M.

S t r e s z c z e n i e: Harcerz Janek Sianowski znajduje swego ojca, gajowego, ciężko rannego w opuszczonym kamieniołomie, udaje się po pomoc do swego zastępowego Staszka Grzegorzewskiego i wraz z nim i jego ojcem spieszy na miejsce wypadku, W drodze spotykają sprawcę napadu, znanego kłusownika, cygana Szczawińskiego. Cygan, widząc, że przeciw niemu kierują się podejrzenia, korzysta z pierwszej nadarzającej się sposobności, oddala się od spieszących na pomoc rannemu, wpada do swej chaty, budzi tu syna swego, Józka i postanawia natychmiast uciec z tej okolicy. Tymczasem do chaty przychodzi nieznajomy, elegancko ubrany pan i proponuje, by cygan i jego syn udali się wraz z nim i pomogli mu w pewnej, bardzo duże zyski mającej im przynieść, pracy. Cygan zmusza Józka, by poszedł z nimi. W drodze nieznajomy podaje mu jakiś orzeźwiający płyn, który był środkiem usypiającym. Józek budzi się na drugi dzień, zamknięty w opuszczonym wiatraku. Udaje mu się jednak wydostać nazewnątrz. Wtem ukazuje się jego ojciec i nieznajomy. Józek chowa się do starej, spróchniałej kadzi, która w decydującym momencie rozsypuje się.

Tymczasem Janek i jego przyjaciele odnajdują rannego gajowego. Zaopiekował się nim rudowłosy, nieznany w okolicy wyrostek, który był świadkiem napadu. Zrazu podejrzenie pada na niego, ale tłumaczy się on, a prawdziwość zeznań potwierdza, doszedłszy do przytomności, gajowy.

Rudowłosy chłopiec, Jacek Jemioła, przybył w okolice Czernika z okolic karpackich. Jego ojciec, umierając, wyznał mu, że nie jest jego prawdziwym ojcem, dał mu list do hrabiego Drohojowskiego i kazał zgłosić się w zamku na Liwiu. Jacek nie umiał czytać, z treścią listu się nie zapoznał, a kiedy oddał go w zamku, odpowiedziano mu, że nic dlań nie mogą zrobić.

Zagadkę Jacka postanawia Staszek Grzegorzewski, zastępowy „wyder" rozwiązać. Na zbiórkę zastępu nie przybył jednak Józek, syn cygana. Zaniepokojeni tem harcerze udają się do jego domu, ale nikogo tu nie zastają. Jacek z pozostawionych śladów i znaków, przez Józka narysowanych, odczytał przebieg wydarzeń ostatniej nocy i wraz z Staszkiem Burym wyrusza w ślad za uprowadzonym. Reszta zastępu wraca po wyekwipowanie wycieczkowe w obawie, że tropienie samochodu może ich bardzo daleko zaprowadzić.

Opowieść nasza znajduje się w momencie, kiedy obaj wywiadowcy tropią, a Józka chwyta ojciec po nieudałej ucieczce z wiatraku.

(Ciąg dalszy)

Na widok swych prześladowców Józek chciał ratować się ucieczką, ale nie zdążył ubiec jeszcze kilku kroków, gdy ojciec rzucił się na niego z krzykiem wściekłości i tryumfu:

— To ty tak! — wrzasnął. — Nie miałeś już czasu, by wziąć nogi za pas! He? Dowierzałeś tej starej bece! Lepiejbyś zrobił, gdybyś wierzył swemu własnemu ojcu.

Słyszałeś chyba, com przed chwilą mówił! Nie bój się, byłbyś ty tego pożałował, gdyby ci się udało uciec — to mówiąc, pogroził mu pięścią.

Józek zaciął zęby.

— Możesz mnie nawet zabić, jeśli chcesz — syknął przez zęby.

Ale jeżeli myślisz, że zdradzę swych towarzyszy, lub że mnie zmusisz do jakiego łotrostwa, to się mylisz.

Cygan gwałtownie potrząsnął chłopcem. Wtedy przystąpił do nich nieznajomy i kładąc rękę na ramię Szczawińskiemu, rzekł swym słodziutkim głosem:

— Trochę więcej spokoju, Szczawiński! A ty chłopcze nie myśl, że będziemy cię namawiać do jakiejś nikczemności. Masz tylko zrobić coś, co pomoże nietylko nam, ale i komuś innemu.

Chodźcie! Pójdziemy porozmawiać o tem spokojnie.

Szczawiński zamruczał coś pod nosem, ale nie puścił Józka, ściskając jego ramię swoją muskularną łapą, jak kleszczami.

— Suń się — zamamrotał gburowato.

Słup dymu.

Jacka i Staszka pozostawiliśmy na dróżce, wiodącej do starego młyna, który dawno nie widział ziarna, podobnie jak wiatrak na górze, przedstawiający się już tylko jako kupa desek. To też ścieżka, po której dążyli nasi wywiadowcy zarosła napoły i rzadko używana, nosiła wyraźne ślady przechodzących nią przed kilku godzinami mężczyzn, a zwłaszcza odbijał się głęboki ślad Szczawińskiego, który niósł bezwładnego Józka w swych silnych ramionach.

Nagle Jacek przystanął, popatrzył na przydrożne krzaki, poczem ukląknął i z uwagą począł badać ziemię.

— Wątpię, by Józek mógł nam zostawić jeszcze jakieś ślady.

— Dlaczegoż to? — zapytał Staszek.

Jacek wskazał na badane ślady:

— Czy nie widzisz tu, że ślady pozostawili tylko dwaj ludzie i że odciski grubych butów cygana są głębsze, niż zazwyczaj. Założę się, że niósł on jakiś porządny ciężar. — A teraz popatrz tutaj — wskazał na grubą, cierniową gałązkę na wysokości mniej więcej metra od ziemi.

Ten kawałek materji jest niedawno wyrwany. Czy Józek nie miał na sobie szaro-zielonego ubrania?

— Istotnie — zawołał Staszek — Józek chodził w starem, szarem ubraniu. Ojciec nigdy mu nie pozwalał na noszenie munduru harcerskiego.

Swoją drogą z ciebie doskonały tropiciel. Dziwię się, że ci taki szczegół odrazu wpadł w oko.

— No! nie było to znowu takie trudne do odgadnięcia. Szczawiński i jego towarzysz nie chcieli, by Józek wiedział, którędy go uprowadzają, to też związali go i w jakiś sposób pozbawili przytomności. Przyszło mi to na myśl, gdy tylko zauważyłem brak jego śladów.

— Koniec końcem wiemy przynajmniej, że nie mogli iść gdzieindziej, jak tylko w kierunku starego młyna!



U podnóży Baraniej Góry.

— Oho! to jeszcze nie jest tak zupełnie pewne. Mogli udać się gdziekolwiek. Mój przybrany ojciec rozumiał się na wszystkiem doskonale, a także tropił doskonale. Mawiał on zawsze: „gdy idziesz za śladem, nigdy niczego ze ślepą pewnością nie przypuszczaj i nie idź dalej, póki nie przekonasz się, że wiesz wszystko, co ci twoje uszy, oczy i nos mogły powiedzieć“.

— Chodźmy dalej — rzekł po chwili Staszek. — Trzeba się spieszyć. Dla reszty zostawię tu znak, by wiedzieli, którędy mają iść. Gościniec już niedaleko. Tam skończy się z konieczności nasze tropienie. Bo jakże się dowiemy, dokąd auto pojechało.

Jacek nie zwracał jednak uwagi na te wywody, lecz podniósłszy głowę, wciągał od czasu do czasu powietrze nosem, jakgdyby węszył.

— Pamiętaj, co ci mówiłem! Zawsze trzeba dokładnie obejrzeć miejsce, zanim pójdzie się dalej. Czuję woń spalenizny. Wiatr wieje od młyna. Ciekawym, co to znaczy.

Staszek chwycił go nagle za ramię.

Z nawpół zburzonego komina w młynie unosił się lekki słup niebieskiego dymu, łatwo dostrzegalny na tle ciemnej zieleni, stojących w dali drzew.

— Patrz! Patrz! Ktoś tam jest w środku.

Prawdziwa przyjaźń.

Stary młyn był w stanie zupełnej ruiny. Dach już dawno się zapadł, a ogród porósł badylami i chwastami. Było jasnem, że budynek nie nadaje się na żadne schronisko — a jednak smużka dymu zdradzała obecność człowieka.

Do zburzonego domu prowadziła niegdyś brukowana ścieżka. Jacek i Staszek zbliżyli się na palcach do otworu drzwi i zaglądnęli do izby. Nie było tam nikogo, na środku tylko znajdowało się rumowisko cegieł i zbutwiałego drzewa — ślad dawnej kuchni, czy pieca. Z lewej strony drzwi prowadziły do drugiej i trzeciej izby, nad którą zachowało się jeszcze trochę dachu. Stamtąd właśnie dolatywał zapach smażonej słoniny i ciche, wesołe pogwizdywanie.

Chłopcy poczęli skradać się w tę stronę — a zaglądnąwszy do wnętrza, spostrzegli mężczyznę nachylonego nad kominem i zajętego przygotowaniem pożywienia. Nie odznaczał się on niczem szczególnem. Miał gęstą siwą czuprynę i podarte ubranie na sobie.

— Możemy wejść? — grzecznie zapytał Jacek.

Nieznajomy odwrócił się z wyrazem zdumienia. Był to starszy człowiek, opalony, gładko wygolony, z chytrze patrzącemi oczkami.

— Aleście mnie zaszli — zawołał wesoło. — Harcerze! Nie? Ja też jestem stary wojenny skaut, służyłem w armji Hallera — to mówiąc, wskazał na szereg odznaczeń, widniejących na jego połatanym surducie. — A teraz od końca wojny żyję, jak prawdziwy skaut. W lecie to nienajgorsze życie. Wysypiam się na sianie, a miesiąc świeci lepiej, niż elektryczna żarówka. Szkoda, że nie mogę was zaprosić do obiadu, ale sam mam niewiele, a kolumna aprowizacyjna jeszcze nie nadjechała — śmiał się wesoło.

— Panie! — zapytał Jacek — czy pan był dzisiejszej nocy w tym młynie?

Stary kiwnął głową, poczem siadłszy na resztkach starej beczki, począł jeść.

— To się wie, że byłem, kolego — mówił ustami, zapchanemi jedzeniem. — Właśnie wczoraj wędrowałem lekko i swobodnie drogą, ale, zobaczywszy ten hotel, powiedziałem sobie: „A nużby tutaj zatrzymać się na dłużej! Świetnie się można przespać!“

— A nie widzieliście tu niczego dziwnego w nocy, albo rano?

Stary zawahał się na chwilę.

— Aha! Tędy go wiedli... Doprawdy dziś rano słyszałem i widziałem dziwne rzeczy — to rzekłszy, patrzył na obu chłopców, zwlekając z dalszem opowiadaniem.

— Cóż to było? — wyrwał się Staszek.

— Tylko nie tak ostro! — powstrzymał go stary żołnierz.

— Mojem hasłem jest „żyć i pozwolić drugim żyć“. Nie chcę mieć z policją nic wspólnego, a tu zanosi się jak widzę, na jakieś śledztwo.

Wkońcu jednak stary zgodził się opowiedzieć, co widział i słyszał:

— Zawsze śpię bardzo lekko — mówił. — Było już koło drugiej godziny, gdym się zbudził i usłyszałem na dworze jakieś głosy. Wychodzę ostrożnie, patrzę, a tu drogą idą dwaj mężczyźni. Jeden z nich niósł na ręku jakiegoś chłopca. Dużo o nich nie da się powiedzieć, ale przy księżycu widziałem, że jeden z nich ubrany był po pańsku. Z ciekawości poszedłem za nimi aż do gościńca i zobaczyłem, jak chłopca złożyli do auta, które tam stało ukryte i odjechali na zachód.

Ten, co siedział przy kierownicy, powiedział: „to stąd dwanaście kilometrów, za pół godziny będziemy na miejscu“.

— Tego właśnie chcieliśmy się dowiedzieć — zawołał uszczęśliwiony Staszek.

— To jest zapewne jakaś skautowa gra? — dowiadywał się stary.

— Coś podobnego — rzekł skwapliwie Jacek. — Jesteśmy panu bardzo zobowiązani. Pójdziemy teraz na szosę. Zastęp już tam pewno niezadługo przybędzie, tymczasem rozglądnijmy się za śladami.

Pożegnawszy się z wesołym kapralem, chłopcy udali się na szosę, gdzie stwierdzili, że opowiadanie było zgodne z prawdą. Automobil, który, sądząc z rozstawienia kół i śladów opon, musiał być wspaniałym wozem, odjechał na zachód.

(C. d. n.)

GUSTAW MORCINEK.

Długie nogi.

Nikt chyba na świecie nie miał większego zmartwienia, jak Kukuczów Rudolf z Karwinej. Miał bowiem niezwykle długie nogi. Napozór rzecz drobna, często spotykana. A jednak ileż to razy jego serce napełniało się goryczą, ileż to myśli utrapionych przesunęło się w jego głowie, ileż nocy bezsennych zatruło mu przeświadczenie, że się żadnej dziewusze nie będzie podobać. Rówieśnicy jego już dawno paradowali z dziewczynami na zabawach tanecznych czy na odpustach. A na niego, to ledwie która trochę spojrzy, a zaraz się krzywi.

I matka jego martwiła się wielce, bo wszystkie spodnie, które nosił po ojcu — Boże mu tam dej radość wiekuistą — prawie w oczach stawały się krótkie. Gdy miała chwileńkę wolną, wsadzała na nos podrutowane okulary, nawlekała poślinioną nitkę w uszko igielne i szyła, nadstawiała, doszywała, żeby tylko nogawki dłuższe uczynić. A za miesiąc, za dwa już znowu były krótkie.

Nowych spodni nie chciała mu kupić, boć nie zarabiał jeszcze tyle, by wystarczyło na taki wydatek. To też Rudek chadzał w starych spodniach, które mu wysoko ponad kostki sięgały. Gdy szedł do pracy, górnicy pokpiwali z niego po drodze, natrząsając się z jego bocianich nóg i krótkich spodni.

— Ty, Rudek — wołali za nim urągliwie — czyś stoł we wodzie, jak ci krawiec na galaty mierzył?

A drugi rychło dorzucał:

— Nie mosz też tych galot z młodszego brata?

Tak mu dokuczali.

Rudek jak umiał, tak się odcinał. Lecz trudno mu było wychodzić zwycięsko z tej szermierki słownej, boć wiadoma rzecz, że brać górnicza, wielce w języku mocna, gdy się na kogoś uweźmie, nie tak rychło ustanie.

Dziewuchy pracujące na szybie dworowały z niego szpetnie, przezywając go bocianem, któremu zaiste żaby w stawie łapać, niżli na kopalni pracować i wstyd przynosić tak zacnemu zawodowi górniczemu. A gdy mu już do żywego dojadły, Rudek zżymał się i żuł gniewliwie słowa, a czasem wybuchał i rzucał ciężkiem wyzwiskiem. Stawało się ono wtedy podobne do kamienia, który ktoś niebacznie w osie gniazdo rzuci. Zrywały się za nim takie kąśliwe docinki i takie dogryzania i natrząsania, że Rudek zmykał chyłkiem w kierunku szybu, prosząc w duchu Boga, by też ktoś z górników nie widział tej haniebnej porażki.

Zresztą wszystko tamto możnaby jeszcze przeboleć, boć przecież — jak się w duchu odgrażał — przyjdzie kiedyś chwila, że się na nim mocno poparzą. Ale gorzej miała się rzecz z utrapieniem, jakie mu przynosiła praca w kopalni. W całej kopalni był tylko jeden pokład na tyle wysoki, że można było w nim wygodnie pracować. Wszystkie inne — a było ich sporo, — były tak niskie, że niejednokrotnie trzeba było z nich wydobywać węgiel na czworakach. A tu, jakby na złość, jego sztygar, Poprtal, rudy Czech, stale przeznaczał go do najniższych pokładów, gdzie i nisko było i ciepło i wilgotno. Rudek pracował, bo co miał czynić, lecz z zawiścią patrzał na swych kopaczy, którzy leżąc wygodnie na boku, ostremi szramówkami[1]) dłubali w caliźnie węglowej, gdy on zziajany i spocony uganiać się musiał z ogromnemi taczkami w niskich chodnikach. A taczki bywały zawsze naładowane powierzch. Długie jego nogi plątały się nieporadnie, przeszkadzały w pracy, a on biedaczysko, nie mając ich gdzie podziać, wykręcał je pokracznie i poklinał na sztygara. A gdy się ukląl dowoli, to potem wzdychał żałośliwie i w duchu pomstował na calutki świat. Głośno skarżyć się nie mógł, bo wiedział dobrze, że towarzysze darzyliby go zamiast politowania złośliwemi docinkami.

Wracając do domu, przemyśliwał zawsze, jak tu sobie ulżyć. A że nie widział znikąd nijakiego poratowania, pochlipywał często — gęsto przez nos i znowu klął i wydziwiał wszystkim od „pieronów". Czasem ogarniał go znienacka jakiś desperacki pomysł, i gdy mu znów kto zamierzał dokuczyć, porywał kamień z drogi i ciskał w nieszczęśnika. Zazwyczaj rzadko trafiał do celu, lecz to wystarczyło, że przeciwnik wszczynał srogi wrzask i jął gonić Rudka. Chłopiec wtedy nie czekał, lecz rozpuszczał swe nogi i wyrywał przed siebie, co miał siły. Próżno go wtedy usiłowano dopędzić. Zmykał bowiem szybciej, niżby się tego można było spodziewać. I zazwyczaj, gdy zdyszany prześladowca dawno ustał w pościgu, nie mogąc tchu złapać, to Rudek był już het! het!... a jeszcze biegł niezmordowany. Dziwowali się wtedy górnicy i mawiali jeden drugiemu:

— Widzisz, pierona, jak zmiato?... Widzisz go?... A przy robocie to się szmatle, jak cielno krowa, a teraz to umie uciekać!..

Tak mawiali górnicy.

Gdy raz i drugi i dziesiąty udało się Rudkowi uciec w ten sposób, poweselał. Spostrzegł bowiem, że te jego nieszczęsne nogi mogą się przecież do czegoś nadać. Przynajmniej do ucieczki, jak już do niczego innego. Spostrzeżenie to było mu teraz jedyną osłodą w pokrzywdzonem życiu. Chętnie upajał się tą myślą, że lepszego i zwinniejszego szybkobiegacza niemasz w całej Karwinie. Lubił się odtąd popisywać ich zaletą i to właśnie wyrobiło u górników pewien szacunek dla niego. Częstokroć, gdy wszyscy górnicy byli zebrani przy szybie, udawało mu się namówić jakiegoś nieświadomego, by stawał z nim do wyścigów



»Okiść«.

o zakład. Z początku, by nie odstraszyć przeciwnika, pozwalał się w pierwszym biegu prześcignąć. Przy następnym jednak namawiał rywala, by położyć u mety po jednej Koronie[1]), a kto pierwszy dobiegnie, może je sobie zabrać. Wynik końcowy bywał ten, że uszczęśliwiony Rudek śmigał z wygranemi Koronami do domu, a za nim, daleko w tyle, biegł jego rywal wyścigowy, lamentujący głośno nad stratą swych pieniędzy. Zebrani górnicy nie posiadali się wtenczas z radości i zaśmiewając się do rozpuku, pokpiwali niemiłosiernie z nieszczęśnika, co się pozwolił tak szpetnie podejść.

Nie długo to jednak trwało. Bo gdy się już wszyscy zwiedzieli o zdradzieckich przymiotach Jankowych nóg, nie można było nikogo skusić do wyścigów. Daremnie starsi górnicy przemawiali do ambicji chłopców, daremnie dziewuchy dogadywały im uszczypliwie i natrząsały się z ich tchórzostwa; nikt się nie kwapił stawać z Rudkiem w zawody, gdyż każdy był zgóry przekonany, że wyjdzie pokonany.

Zyskał też odtąd Rudek na honorze, ba — nawet i dziewuchy przychylniej się teraz do niego odnosiły i dopytywały, czy też pójdzie na odpust do Cierlicka lebo do Pogwizdowa, bo ona też pójdzie...

Chadzał se odtąd w chwale i poszanowaniu wśród braci górniczej. Jedynie sztygar Poprtal jakoś zawziął się i ani myślał o przeniesieniu go do wyższego pokładu, gdzieby nie musiał nóg koszlawić i grzbietu boleśnie odzierać. Rudek przypuszczał, że sztygar czyni to umyślnie, gdyż górnicy nieraz mu donosili, że Poprtal odgrażał się

[1]) szramówka = kilof.

[1]) dawna moneta austrjacka.

na niego w gospodzie. Długo nie mógł sobie przypomnieć, o co tu właściwie jemu chodzi. Wkońcu jednak dowiedział się, że powodem niechęci sztygara jest to, iż Rudek brał udział w rozbiciu zgromadzenia czeskiego w Porębie, na którem nie chciano dopuścić do założenia szkoły polskiej. Mimo to poszedł do niego raz i drugi, prosząc o przeniesienie do innego pokładu. Sztygar jednak za każdym razem sfukał go i powiedział kilka ciężkich słów, które wcale nie przepowiadały zmiany na lepsze. Rudek o mało nie pękł ze złości. Długo obmyśliwał zemstę, aż wymyślił.

Pewnego dnia poszedł pod sztygarowe mieszkanie, uwiązał na sznurku kawałek słoniny, przerzucił przez płot i czekał. Za chwilę przyszły kaczki.

Gdy wracał do domu, obejrzał z dumą swe słodkie dzieło zemsty. Dwanaście kaczek wisiało na płocie, uduszonych słoniną. Zachichotał z uradowania, zatarł dłonie i poszedł.

Na drugi dzień na szybie patrzał sztygar podejrzliwie na Rudka. Wkońcu zapytał:

— Kde byliste wczera, Kukucz?

— Na, na szychcie, pieknie proszę panie sztajgier.

— No, ja wim. Ale potom, po szychcie?

— Na, na grzyby, pieknie proszę panie sztajgier — odparł z szelmowskim uśmieszkiem.

— Ty zatraceny zmrzaku — warknął groźnie sztygar — jak se dowim, że to ty udielalesz, a moje kaczki podusiłeś, to toho do smrti ne zapomnisz!..

— Hale, panie sztajgier, psiniec mi tam bydzie — zakpił z niego Rudek i wyszedł z cechowni, pogwizdując lekceważąco.



Fot. W. Chromiński.

»Czarne chmury ciągną od Pilska«; widok z Baraniej Góry.

Gdy się zjawił na szybie, z lampą przewieszoną za paskiem u spodni, z rękoma w kieszeni i ze źdźiebełkiem trawy w ustach, powitali go głośnemi prześmiechami górnicy. Dziwnym sposobem rychło się zwiedzieli, że sztygar posądza go o owo spustoszenie, uczynione między kaczkami. Poczęły się tedy sypać docinki, jedne przez drugie:

— Ty Kuczucz, oddej kaczki!...

— Djabli bocian! Z takiemi nogami, to mu rychli żaby w stawie chytać, aniżeli kaczki u sztajgra.

— Do trzech nie umie narachować, a taką paskudę ludziom robić... biadał któryś tam, żywiący snadź głębszy szacunek do sztygara.

— Na, że ci też sztajgier tych kląkorów nie połomoł — cudował się inny — gdyś mu te kaczki dusił...

Rudek uśmiechał się tylko, uradowany, że samo przypuszczenie o tego rodzaju czynie wywołało tak wielkie wrażenie między górnikami. Widział, że w ten sposób rośnie jeszcze bardziej w ich oczach, że tylko czekać, aż ułożą jakąś piosenkę o nim i wypisywać ją będą na wszystkich ścianach i wózkach.. A każdy czytać je będzie i każdy dziwować się będzie, a najwięcej, to już te dziewuchy na moście. I w ten sposób sława jego rozejdzie się daleko, szeroko po całej Karwinie. Boć targnąć się na własność sztygara, to przecież naprawdę coś niebywałego. Nadął się tedy, rozkroczył szeroko, ręce wsunął jeszcze głębiej w kieszenie, a ruszając wytwornie źdźiebełkiem w ustach, rzucił z przechwałką:

— Hy, myślicie, że ze mnie jest taki cybuch, jak niejeden z was? Podusiłech kaczki, djablemu Pepikowi [1]) i zbyte. A to za to, że dziod zatracony nie chce mie dać do inszej roboty.

Z tłumu cudujących się górników podniósł się teraz gwar, nawoływania, pokrzyki i śmiechy. Ucichli dopiero gdy nadszedł Poprtal. Zaintrygowany głośną ich wrzawą i wyzywającą postawą Rudka, zapytał:

— A co wy tu, sakra, dielate telkowny krawał, chlapi?

— Na, pieknie proszę panie sztajgier — wyrwał się w te pędy stary Karch ze Żabkowa, znany lizus i „piętogryz" i „pieseczek pański" — bo oto Rudek Kukuczów jej ich kaczki podusił, pieknie proszę panie sztajgier...

Górnicy gruchnęli śmiechem, uradowani takim nieoczekiwanym obrotem sprawy.

Sztygar zamroczył się ciężko, zczerwieniał ze złości, łypnął z podełba na Rudka, strzyknął śliną przez zęby, podrapał się po głowie w krótkiem zamyśleniu, potem wyjął notes z kieszeni, poślinił ołówek i jął przewracać kartki. Zaległa wyczekująca cisza, gdyż każdy był ciekawy, co z tego wyniknie, a nikt nie chciał psuć nastroju przedwczesnem odezwaniem się.

W tej chwili zakrzyczał jazgotliwy dzwonek sygnałowy. Był to znak, że już czas wsiadać do windy. Sztygar pośpieszył się, coś ołówkiem skrobnął, wsunął notes do kieszeni i zawołał na Rudka:

— Te Kukucz, ty pojdziesz dneska karowat [2]) do Piekiełka z upadu. Rozumiesz?

Była to najgorsza miejscowość w całej kopalni. Celem połączenia dwóch poziomów przebijano w węglu wąski chodnik, biegnący od przekopu kilkadziesiąt metrów w dół po stromej pochyłości. Wysoka temperatura, niedostateczne przewietrzanie, sącząca się wilgoć ze stropu, a przedewszystkiem nadzwyczaj uciążliwe wywożenie węgla w taczkach pod górę, po oślizgłym stromym spongu [3]) — wszystkie te cechy urobiły dla tego miejsca nazwę „Piekiełko". Było to raczej piekło, lecz znana przekora górników, kpiących ze wszystkiego, podyktowała tę zdrobniałą nazwę. Nikt tam nie chciał pracować, i jedynie za karę przeznaczano tam kogoś do pracy. Rudek znał tę dziurę, bo nieraz przechodził tamtędy, wracając po szychcie pod szyb. Mrowie leciuchne obiegało go zawsze, gdy ujrzawszy ciemną, wąską czeluść pełną słodkawego zaduchu, z oślizgłemi, wilgotnemi ścianami, wyobrażał tam siebie przy pracy. Odżegnywał się przed tą myślą, jak przed zmorą. Mawiał wtedy w duchu:

— Prędzejby mi przyszło scypnąć, niż tu stela jedne kary węgla wywieźć!... Toćbych do miesiący nogi wyprościł!...

Gdy teraz posłyszał wyrok sztygara, zmartwiał w pierwszej chwili z przerażenia. Ze wszech stron otoczył go hałaśliwy i urągliwy śmiech górników. Rychło jednak ocknął się i zanim miano czas zamknąć windę, już postanowił. Przecisnął się między nimi, wybiegł z windy przed sztygara i zawołał:

— Panie sztajgier, idą se sami karować do Piekiełka, a mie dają książkę i zbyte!...

I tak się też stało. Wprawdzie sztygar nie poszedł do Piekiełka karować, jak mu radził Rudek, lecz postarał się, że jeszcze tego samego dnia otrzymał książkę roboczą z zarządu kopalni, jakiś tam grosz, co mu się należał i kilka ciężkich wyzwisk na drogę.

Matka chciała mu w domu sprawić przykładne lanie. Zmartwiła się przenaramnie, bo jakże tu się nie martwić, kiedy synek zostanie bez pracy!.. Rudek jednak nie czekał, lecz szybko opuścił mieszkanie i pomknął do suskiego lasu. Przewałęsał się tam cały boży dzień. Lękał się wcześniej wracać do domu, bo wiedział, że matka posiada jeszcze krzepką dłoń. Przeczekał więc do wieczora w lesie, a głód zaspokoił kawałkiem chleba, który wycyganił od pastерза, pasącego opodal krowy.

Odtąd rozpoczęły się dla niego dni słodkiego lenistwa i wypoczynku. W domu rzadko przebywał, zato po całych dniach wałęsał się po Karwinie. Czasem tam komuś pomógł w pracy, zaco otrzymał trochę grosiwa, innym razem przyniósł żydowi pakunek z dworca, lub też parobkowi przytrzymał konie, gdy ten wstąpił do gospody na „jednego", i tak przeplatał się jakoś do listopada.

(C. d. n.)

---

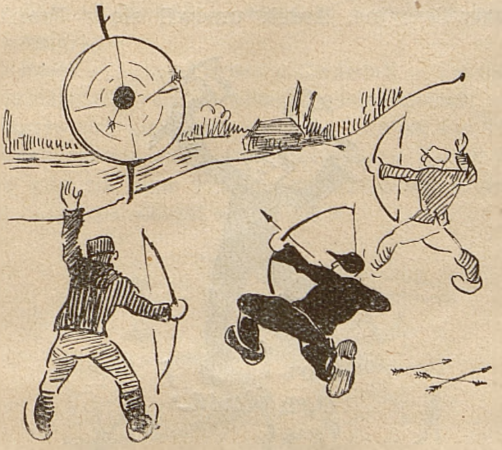
[1]) = pogardliwe wyzwisko na Czechów.
[2]) karować = wywozić ukopane węgle na taczkach.
[3]) spong = posadzka, podłoże.

Jak Antek Cwaniak wilczków kształcił.

Rozdział V.

Grunt — się nie przejmować!

Mróz szczypał porządnie. Wielki termometr na drzwiach apteki pokazywał coś cztery czy pięć stopni. Ale Antek uważał, że wilczaki mogą jeszcze parę minut postrzelać z łuków.



— Owa — mówił do tupiących na śniegu chłopców. To mi wielka rzecz! Dziesięć minut na mrozie! Nic wam się nie stanie. Zresztą — macie rękawiczki, a za pół godziny zaczniemy wojnę na fest. No — ustawić się porządnie, tylko żwawiej.

I skrzyżowawszy ręce na piersi (tak na każdym obrazku trzyma ręce jeden cesarz francuski — Napoleon) Cwaniak zmrużył oczy, wysunął naprzód dolną wargę i ostrym głosem rzucił rozkaz:

— Ceeel — pal!!

Brzękły cięciwy, furknęło osiem strzał — zaciekawiony wzrok błyskawicznie wyprzedził pociski w drodze do tarczy.

— Dobra jest — flegmatycznie oświadczył Cwany Wilk. Trzy w tarczy, dwa — pole, trzy — niebo.

— Ceeel — pal!!

A po minucie znów:

— Ceeel — pal!!

Kołczany się wypróżniły. Na polecenie Antka chłopcy rzucili się zbierać porozrzucane strzały i tylko Zygmuś podszedł do Cwaniaka.

— Cwany Wilku — rzekł, tupiąc nogami dla rozgrzewki — poco my ciągle do tarczy strzelamy? Przecie można strzelać do książki jakiej, albo do jabłka. Albo żeby który z nas stanął pod murem i na głowę położył sobie jabłko, a reszta — żeby waliła. Nawet gdzieś czytałem, że jakiś Niemiec czy Indjanin, już nawet dobrze nie pamiętam, własnemu synowi musiał postawić na głowę jabłko i strzelać. Jak trafi — to wyzwolą go z niewoli, a jak nie trafi — to śmierć! Oj, żebyśmy urządzili taką zabawę!

— Czyś ty z byka spadł? — oburzył się Antek. — Połowa gromady do głupiej tarczy trafić nie może, a on chce takie chece urządzać! Jak się nauczycie, to nawet będę wam rzucał do góry różne małe przedmioty — żebyście trafiali, — ale najpierw wykształćcie się. Nawet potem do grosza będziecie strzelać! A jak który trafi w grosz — to może nawet dostanie w nagrodę od Dziadka, który się nazywa Pan Marszałek, rękę Wandy albo Jagódki razem z połową majątku.

Iii — dziwili się i wątpiąco kiwali głowami wilczaki, którzy pozbierawszy strzały, przysłuchiwali się tej rozmowie.

— Nic nie „wyikacie" zmienił ton Antek. — Coś tu trzeba w tej strzelnicy przeinaczyć, żeby lepiej szło.

I ściągnął Cwany Wilk marsowe brwi, zacisnął w potężnem zdumieniu zęby, a po dwóch minutach okrutnego rozmyślania ustanowił taki porządek: ci wilczacy, którzy najlepiej strzelali, zostali przy strzelnicy; średnim strzelcom dał do rąk dziryty — takie krótkie, półtorametrowe kije z drzewa — i kazał uczyć się rzucać nimi do celu; a celem był wielki bałwan, którego ulepiono na początku zbiórki. Najsłabsi strzelcy musieli narobić ze śniegu „piguł" i uczyć się trafiać z piętnastu kroków do starego kubka.

— Jak która partja dobrze się w swojej broni wykształci, to zmieni się z inną. Kiedy przyjdziecie do domu, to też uczcie się strzelać i rzucać, bo nasza gromada musi ef-ef zapoznać się z różną bronią.

Krótkie minuty leciały z błyskawiczną szybkością. Antek zobaczył, że strzelnica trwa za długo, że trzeba jeszcze wiele czasu poświęcić na naukę dobrego celowania, więc postanowił zacząć najważniejszą część zbiórki — wojnę.

Pocichu i nieznacznie oddalił się do bramy podwórza szkolnego, na którem odbywała się zbiórka. Gdy potem wyjrzał zza węgła, stwierdził, że nikt jego odejścia nie zauważył.

— A to ci zajęli się pigułami i wogóle celowaniem! Nawet nie zauważyli, że polazłem sobie, — mruknął zadowolony. Wbiegł do sieni, w której mieszkał woźny i po chwili miał już jedną z sal otwartą.

— Niech się pan nie boi, panie Franciszek! Buty wytrzemy fest, sam będę pilnował.

Gdy po pięciu minutach rozdokazywana wrzaskliwa gromada, która wpadła do sali zaczęła się uspakajać, Antek kazał usiąść wilczętom w Kręgu Rady i rozpoczął zebranie.



— Bracia wilczacy — zaczął poważnym głosem, ale wnet musiał przerwać, bo Felek niewiadomo dlaczego szturchnął Józka, Józiek — Staśka i tak dalej.

Antka to rozezłościło.

— Te, foko obskubana, — krzyknął ostro. Trzymaj łapy przy nogach a jak ja mówię — to siedź cicho. Albo jest porządek albo nic!

Ucisz yło się. Więc Antek kiwając się w kuckach zaczął opowiadać o wojnach. O Indjanach, o Tatarach, o ułanach pod Sammo-Sierą — i wogóle o wojnach. Mówił, że na wojnie to wszystko zależy od odwagi i od karności. A jeszcze więcej, — żeby był wojenny plan.

— Żaden żołnierz nie robi tego co chce, a wszyscy słuchają wodzów, bo jakby każdy bił się na własną rękę, to wyszedłby straszny bałagan i napewno byłaby klęska. A wódz obmyśla plan i każdemu oddziałowi każe wypełniać swoją robotę — wtedy wszystko idzie dobrze i do zwy-

cięstwa. Jak byli bolszewicy w dwudziestym roku pod Warszawą i wszystkim zdawało się, że już koniec, to wtedy Piłsudski siedział — siedział i wymyślał plan. Zebrał dużo wojska koło Dęblina i jak nie uderzy z całej siły na bolszewików, jak nie zacznie ich z boku grzmocić. Odrazu stamtąd bolszewicy uciekli, zrobiła się w ich froncie dziura i cała armja bolszewicka zwiała, nawet od Warszawy. Kapujecie dlaczego zwyciężyliśmy? Bo był plan, i całe wojsko słuchało tego planu.

A u żołnierza to najważniejsza rzecz — honor. Żaden prawdziwy żołnierz nie będzie męczył rannego, ani nie ucieknie z frontu, ani nie będzie kradł — bo to byłaby hańba i nie byłoby wtedy w wojsku honoru. Tak samo żołnierze nie znęcają się nad wrogiem — bo to też niehonorowe.

Tak i jeszcze inaczej mówił Cwany Wilk o wojnie i o obowiązkach żołnierza. A potem powiedział, że zaraz wilczacy podzielą się na dwie partje i też będzie wojna. Ale musi to być wojna prawdziwa, musi być karność i posłuszeństwo i plan. Długo opowiadał też Cwaniak o honorze wilczaków.

— Jakby zamiast śnieżką rzucał który z was w nieprzyjaciela kamieniami albo lodem — to go odrazu wywalimy z wojny i nawet jeszcze sąd nad nim zrobimy za niehonorowość. I nie potrzeba też celować w twarz — bo może z tego wyjść awantura albo podbite oko. Pamiętajcie o tem, pamiętajcie!

Tu Antek kucnął po wilczęcemu i zawył:

— Postarajcie się wilki walczyć honorowo, postarajcie się...

— Postaraaaamy się... — wyła w odpowiedzi gromada.

Gdy trzykrotne wycia ucichły, Antek kazał wszystkim odwrócić się do pieca do którego sam podszedł i wśród śmiertelnej ciszy zaciekawionych wilcząt otworzył drzwiczki i wyjął dwa pięknie pomalowane drewniane toporki — tomahawki.

Wśród wilcząt odrazu zawrzało jak w ulu, a najgłośniej wrzeszczał Franek: „Topór wojenny wyjął Cwany Wilk, topór wojenny! Zupełnie tak samo jak u Indjan!"

— Przymknij się! — krzyknął mu Cwaniak. A wyszedłszy na środek sali zaczął skakać jak najwyżej, trzepać rękoma na wszystkie strony i śpiewać donośnym głosem indyjską pieśń wojenną:

„Jeu gońjama, gońjama!
Iuwubu.
Jabo, jabo
Iuwubu!"

Po dwóch minutach tajemniczą i straszną tę pieśń śpiewali i tańczyli wszyscy wilczacy.

A choć upłynęło we wrzawie i namiętnych skokach chwil niewiele — Antek przerwał taniec i podzieliwszy gromadę na dwa oddziały, dowództwo nad jednym zatrzymał w swoich rękach, drugi — oddał Frankowi Abecadłowskiemu.

— Franku czyli Wrzaskliwy Wilku — zawołał donośnie. Oddaję ci połowę gromady pod dowództwo, a na znak władzy weź odemnie jeden topór wojenny.

Trzeba było już iść. W porządku i ładzie opuściłi wilczęta salę szkolną, udając się za miasto. Tuż za miastem stała cegielnia, gdzie w lecie odbywali chłopcy swe zbiórki. Za cegielnią płynęła rzeczka. Teraz to właściwie rzeczka nie płynęła, gdyż luty mróz skuł wodę, ale w każdym razie istniała i miała tę dobrą stronę, że koło cegielni właśnie przerzucony był przez nią most. Właściwie nie most — a ruiny mostu. Dawniej, gdy cegielnia pracowała, przejeżdżały przezeń dziesiątki i setki furmanek, lecz kiedy zamarło życie w cegielni, dziwna cisza zapanowała nad mostem; nikt już przez niego nie przejeżdżał, rzadko kto przechodził, nikt nie myślał o naprawianiu uszkodzeń — bo poco to? Most i tak jest nieużyteczny.

Ten to właśnie porujnowany most miał się stać widownią wielkich wydarzeń wojennych.

Zaraz po przybyciu nad rzeczółkę Cwany Wilk wydał obu partjom odpowiednie rozkazy i wnet rozpoczęło prace fortyfikacyjne. Antek umówił się z Frankiem —



Wrzaskliwym Wilkiem, że z jednej strony rzeki znajdować się będzie obóz Wrzaskliwego Franka, z drugiej — Cwanego Wilka. Każda partja zbuduje po swojej stronie mostu wał ze śniegu, zza którego będzie się broniła i zasypywała wroga pociskami. O 30 kroków od brzegu mostu postawią oba oddziały bałwany ze śniegu, i bałwanom tym wetkną w ręce toporki wojenne. Wojnę wygra ten oddział, który zdobędzie topór przeciwników.

— Po lodzie przechodzić nie można — kilkakrotnie powtórzył Antek — tylko przez most. I nie wolno też ukrywać swego toporku; musi być na widocznem miejscu u bałwana. Pamiętajcie też o honorze!

Praca wrzała w całej pełni. Zaczerwienieni, zgrzani chłopcy toczyli wielkie kule ze śniegu i z nich układali dwa wały na moście. Roboty było dużo, całe szczęście, że most nie jest szeroki! Inni lepili amunicję do strzelania — piguły. Jeszcze inni stawiali bałwana. Zygmusiowi udało się skondziś „wytrzasnąć" stary, kobiecy kapelusz, który odrazu znalazł się na głowie dziada śnieżnego.

Boże, jak strasznie ciekawe są takie przygotowania wojenne, jak radośnie iskrzą się wtedy oczy, jak gwałtownie bije krew w tętnicach! Czemuż to już minęło, czemu nie mogę być z wami, z Cwaniakiem i Wrzaskliwym Wilkiem. Jak babcię kocham — starałbym się dobrze i mielibyście ze mnie pociechę! Och, jakbym walił, jakbym grzmocił i pierwszy pchałbym się na wał wrogów!

No — ale trudno. Czasy są inne. Muszę siedzieć przy biurku i pisać. Nawet już zapomniałem na czem skończyłem opowiadanie... Aha, na zbudowaniu wałów.

Cwaniak spostrzegł, że roboty już są zakończone. Krzyknął więc, że za trzy minuty zaczyna się walka. Chłopcy pośpiesznie ustawiać się poczęli na swoje miejsca.

Przeciągły gwizd przeszył powietrze. Wojna się rozpoczęła.

Obie partje przyczaiły się za wałami i siedziały cicho, jak trusie. Żadna nie chciała zaczynać. Antek Cwaniak, obserwując przez szczelinę w wale obwarowanie przeciwnika, wydawał stłumionym głosem ostatnie zlecenia.

— Kostek — weź sześć piguł i ruszaj kilka kroków w tył, żebyś zdaleka mógł obserwować. A ty Bolek zrób ze śniegu schodki pod wałem i jak krzyknę: „Atak!" — to

pierwszy przełaź i biegnij na nich. Patrzcie no, jak te blade twarze cicho siedzą; próbują kto kogo przetrzyma; to się nazywa, że na nerwy walka. A to co? Psst — zeks!!

Chłopcy szybko spojrzeli na Antka. Ten ręką dał znać, aby naszykowali śnieżki, a sam nie spuszczał wzroku ze szpary.

Na wale przeciwnika zrobił się ruch. Trzech czy czterech chłopców gramoliło się przezeń. Szło im jakoś niepewnie, niewyraźnie. Wreszcie przeleźli.

— Bić??? Bić??? — szeptały nerwowo usta Antkowych żołnierzy.

— Psstt — syknął groźnie Cwaniak — i dalej patrzał.

Przeciwnicy rzucili kilkadziesiąt śnieżek —a Antek nic. Przeciwnicy podbiegli trochę — Antek nic. Przeciwnicy podeszli prawie pod wał Antkowy — a Antek wciąż nic. Dopiero gdy na wale Franka pokazało się kilka nowych postaci — Antek skupił się w sobie.



— Wal!! Krzyknął ostrym głosem.

W jednej chwili grad śnieżek spadł na plecy i głowy Frankowych wilcząt. I jeszcze, i znów.

— Wal, wal! — komenderował Antek.

Partja Antka była ukryta — więc nie trafiały w nią piguły. Zaś nieboracy z obozu Franka stali w otwartem polu; dzikie wrzaski Antkowego wojska i masy śnieżnych pocisków uniemożliwiały przeciwnikowi natarcie.

Ponieważ na pomoc atakującym pędziła reszta Frankowego oddziału, Antek zdecydował się na heroiczny krok — kontr atak.

— Brać jaknajwięcej śnieżek! Przerwać strzelanie! Więcej śnieżek! Uwaaaaga. Atak!!!

Bolek jak szalony skoczył na schodek potem na drugą stronę wału. Za nim z wrzaskiem — „hurrrra!" — reszta wilczków. Zakotłowało się na moście okropnie. W powietrzu ze świstem latały roje pigul i naprędce ulepionych śnieżek. Wrzask, pisk, gwizd, wołania, — zlały się w jeden niesamowity ton. Gorące, przyśpieszone oddechy owiewały twarze wrogów i przyjaciół. Migały ręce, błyszczące oczy, postrącane czapki, wywrócone tułowia... Kłębiło się i kurczyło dziesiątki ciał. Setki urywanych słów obijało się o uszy, oczy oślepły od kotłowaniny i blasków rozbijanych pigul; policzki i ręce paliły jak ogień; w uszach szumiało od niezliczonej ilości odebranych w głowę pocisków. Bitwa wrzała zacięta i sroga.

A był w oddziale Antka wilczek-niedołęga, wilczek-mizerota, — Grzegorz Plisiuk. Ten to właśnie Plisiuk, gdy szał walki sięgał zenitu, spokojnie i cicho obszedł swoich i wrogów, przez nikogo niezauważony przelazł malec przez Frankowy wał, a choć zbłąkana kula walnęła go mocno w szczękę — nie zatrzymał się, nie zapłakał, lecz zgarbiony żwawym truchtem popędził do Frankowego bałwana.

Grzegorzu Plisiuku — będziesz bohaterem! Imię twe sławić będą wilczacy! Tylko wytrwaj i nie bój się! Jeszcze 15 kroków, jeszcze tylko pięć! Już! Teraz chwytaj topór wojenny, i prędzej do swoich. Hej, Grzegorzu, Grześku drogi, znakomitego dokonałeś czynu! Prędzej z powrotem, prędzej!

Lecz gdy Grzegorz gramolił się na Frankowy wał — dostrzegł go przeciwnik, dostrzegł Plisiuka i w jego ręku — toporek. Pisk przerażenie wstrząsnął skotłowaną gromadą, huragan pocisków zaczął razić Grzegorza, kilku Frankowych chłopców rzuciło się nań z wyciągniętemi rękoma.

Biedny, biedny Plisiuk! Skurczył się przy ziemi, jednem ramieniem zakrył twarz od razów, a drugie, z toporkiem, schował pod palto. Choćby nie wiem co — nie odda toporka.

Wtem — cud! Przeciwnicy nie dobiegli do Plisiuka, przestali nawet wrzeszczeć i oniemiali stanęli na miejscu jak wryci. Bowiem tuż za plecami Grzegorza ukazało się pięciu Antkowych wilczaków. To Cwany Wilk wykorzystał zamieszanie i bocznym obchodem rzucił kilku chłopców na tyły Frankowego wojska. Topór był bezpieczny, walka wygraną.

Długo, długo gwizdał Antek, zanim wilczacy się uciszyli. A gdy zapanował względny spokój zebrali się wszyscy wokół Cwaniaka, który uroczyście dziękował Plisiukowi „w imieniu służby" za bohaterski czyn, podał mu rękę i zasalutował.

Chłopcy jednak odwrócili uwagę od Plisiuka i z niepokojem patrzyli na Antka, który miał twarz pomazaną krwią; widocznie uderzenie pigułą w nos było zbyt silne.

— Czy ci nic nie jest? — pytał trwożnie Franek?

— Ee — co tam! Do wesela się zagoi — odrzekł Antek, wtykając sobie śnieg do nozdrzy i wycierając twarz chusteczką.

A — uczony Zygmuś, ten od inżyniera, co takie bajki umiał gadać, wtrącił swoje pięć groszy:

— A la guerre, comme à la guerre.

— Ha, ha, ha — a to ci hryja! — zapiszczeli chłopcy. I zaraz Bolek przedrzeźnił Zygmusia:

— Kes ke se — koń trawe je!

— Was iz das — kwaśny kwas — pisnął roześmiany Kostek. No powiedz co jeszcze Zygmunt, powiedz!

* * *

Wąską ulicą wracali do domu pomęczeni Antek i Franek. Szli wolno, rozmawiając o zbiórce.

— Zbiórka była bardzo morowa — mówił Franek — ale właściwie, to nic wilczęcego na niej nie było. I niczegośmy się nie nauczyli na stopień ani na gwiazdkę.

— Ale z ciebie frajer — skrzywił się pogardliwie Antek. Po pierwsze — było tu dużo różnej nauki, tylko żeś ty jej nie widział, a po drugie — nie zawsze musi być nauka i różne ćwiczenia. Czasem to dobrze w coś się zabawić, żeby się uśmiać i wogóle rozweselić. Bo grunt — to się nie przejmować, dobrze się odżywiać, uważać na zakrętach i nosić buty po fatrze a nie po żadnej ciotce!

A. K.



IGNAC OD KOWALA

To było w początkach grudnia. Ignac Szczęśniak stał przy moście, ręce wpakował głęboko w kieszenie i, patrząc na zamarzniętą fosę, rozmyślał:

— Teraz jest zima i dobry lód. Lód Pan Bóg daje do ślizgania, a te bachory — o, tam, na łyżwach — zrozumiały to dokumentnie. W lecie największa frajda w kąpieli; ech, jak to się rżnęło głową w dół z dwóch metrów, albo i te wyścigi. No, wiadomo — Ignac Szczęśniak to pierwszy pływak na całą Rydzynę, ale co do lodu — to.. tego... jakoś nie tego...

— Abo to był czas — obruszył się sam na siebie Ignac. Majster nawali w zimie roboty, że aż oj. Ledwie człek zipie.

Więc stał Ignac Szczęśniak nad fosą i pochmurniał coraz więcej. O — Franek nawet jeździ, a tam znów Józiek razem z Zośką ręka w rękę śmigają, tfu, nawet ten bencwał Kacper przyczepił jedną łyżwę i jeszcze ciągnie na sankach jakiegoś pętaka. Zaś on, Ignac Szczęśniak, pierwszy w miasteczku pływak i tancerz, jest do łyżew głupi jak but i jakby mu teraz kto przyczepił łyżewki, to na pośmiewisko tych pętaków grzmociłby co chwila o lód.

Na myśl o tem, że ucząc się ślizgać mógłby się stać pośmiewiskiem tłumu, Ignac aż zębami zgrzytnął. Zbladł jeszcze więcej, pionowa bruzda mocniej przecięła czoło, wargi wykrzywiły się w jakiś nieprzyjemny grymas.

Nagle Ignac drgnął. Jak objawienie mignął mu w duszy jasny, wyraźny projekt i rozświetlił smutną zadumę. Czeladnik kowalski cały skupił się w sobie, nawet oczy przymknął, by lepiej rozważyć niespodziany pomysł. A gdy podniósł powieki — wzrok miał jasny i radosny a cała twarz, pełna męskiej energji, wyrażała jakąś mocną decyzję.

— No, zdaje się że znalazłem sposób. Teraz trzeba tylko postanowić. A jak postanowię — to już musi tak być. Nienadarmo majster nazywa mnie „uparty łeb".

Ignac opuścił most i powoli szedł do miasta. Całą drogę rozważał swój projekt, obracał go na wszystkie strony, wyszukiwał naumyślnie różnych w nim wad. Egzamin ten musiał wypaść pomyślnie dla projektu, skoro wieczorem Ignac stanowczym krokiem wszedł do sklepu i, wyciągnąwszy przedwczorajszą wypłatę, zażądał łyżew.



Od tego dnia wszystko się w życiu Ignaca wywróciło do góry nogami. Najgorsze było to, że czeladnik każdego wieczoru po kolacji wychodził gdzieś z domu i znikał na kilka godzin. Każdego dnia! Czasem wracał jak jeszcze gospodarz nie spał, ale najczęściej kładł się do łóżka o niewiadomej porze, gdy już wszyscy dawno chrapali.

— Skaranie boskie z tym chłopaczyskiem! Do szynku łazi, czy do koleżeństwa jakiegoś bezbożnego, czy co? — denerwowała się gospodyni. Taki to był spokojniuśki chłopak, a teraz — turek zatracony! W niedzielę tak spał po tych nocnych spacerach, że Mszę św. przespał i ledwo na Sumę zdążył. Skaranie boskie, skaranie.

Ale uparty Ignac nie zważał na narzekania gospodyni, nic też nie odpowiadał na groźne zapytania majstra, ani na drwiny kolegów. Podawnemu łaził gdzieś co wieczór, a gdy któryś z chłopaków chciał go raz podpatrzeć — dostał tak kułakiem w bok, że mu się w mig odechciało. A że pozatem Ignac pracował w kuźni po staremu bez mitręgi i nie partaczył roboty — więc mu w końcu dano spokój.

— Jak głupi szuka guza, to go wnet znajdzie — zawyrokował kiedyś przy obiedzie majster.

I tylko gdy w oba dnie świąt Bożego Narodzenia Ignac wrócił z tych swoich włóczęg dopiero nad ranem, wrócił przemarznięty choć jakiś bardzo zadowolony — gospodyni po raz ostatni zrobiła „piekło" w domu. I znów naprożno.

Tygodnie mijały. Najważniejsza w Rydzynie organizacja — Straż Pożarna postanowiła, jak co roku, urządzić wielki festyn karnawałowy. Pan Prezes Straży razem z Panem Naczelnikiem zwołali zebranie Komitetu Dochodów Niestałych. Komitet radził coś dwie godziny i uradził: W dniu 2-go lutego, na Matkę Boską Gromniczną, zrobić po Sumie na fosie zamkowej wielkie zawody łyżwiarskie, a wieczorem — bal.

W parę dni potem chłopcy rozlepili na mieście afisze o balu i zawodach. W afiszach Straż Pożarna zachęcała obywateli Rydzyny do jaknajliczniejszego udziału w biegach łyżwiarskich, ogłaszała kto i gdzie przyjmuje zapisy zawodników, powiadamiała, że zwycięzca otrzyma znakomitą nagrodę: srebrny zegarek na prawdziwych kamieniach.

Wśród młodzieży rydzyńskiej zawrzało. Mało było w miasteczku zabaw, jeszcze mniej — zawodów sportowych. A tu zbliżała się niebywała gratka! A do tego — łyżwy. Eh! Przecież to najlepszy sport! Całą męską dzielność i kobiecą delikatność można pokazać na lodzie! I do tego walka, walka o pierwszeństwo. Czyż może być coś milszego? Wreszcie — zegarek na prawdziwych kamieniach też coś znaczy! — — —

W sobotę, w dzień zawodów, po nabożeństwie, brzegi fosy zaroiły się setkami kobiet i mężczyzn. Całe miasteczko wylęgło przypatrywać się zawodom swych najlepszych łyżwiarzy. Mróz był niewielki, niebo prześlicznie — błękitne, lód — równy, jednem słowem — warunki do zawodów wymarzone.

Zaczęło się. Na fotelach zasiedli sędziowie, orkiestra strażacka wygrywać poczęła skoczne obertasy, murzyńskie czerlestony, szopenowskie polonezy. A na lodzie młodzież popisywała się figurowem ślizganiem.

W tem trzykrotnie wypalił z rewolweru pan komisarz policji na znak, że zaczyna się najważniejsza część zawodów: bieg łyżwiarski dokoła parku. Bowiem fosa otaczała wielki park, należący do fundacji Sułkowskich i ten to park mieli obiedz łyżwiarze.

Przy wąskiej białej wstędze zaczęli się ustawiać zawodnicy. Było ich dwunastu czy piętnastu — najlepsi łyżwiarze z Rydzyny, Kłody i Leszna. Przyjechał nawet jakiś łyżwiarz z Poznania, i tego się najwięcej obawiano. Zwarty tłum widzów mrowiem cisnął się z obu brzegów fosy, głośnymi okrzykami zachęcając do walki swych znajomych.

— Rany Boskie! Ludzie! Patrzajta, dyć tam na łodzie stoi Szczęśniak od kowala — wrzasnął naraz jakiś mocny głos!

Dziesiątki głów odwróciło się we wskazanym kierunku i naraz zakotłowało się w tłumie, który teraz dopiero rozpoznał w jednym z zawodników Ignaca.

— Ignac! Nieprawdaż? Ignac!

— A gdzie to cie poniosło, człeku! Nogą nie ruszałeś po łodzie!

— Abo głupi, abo z głupia chwat.

— Te, Szczęśniak, wyłaź na górę, bo będzie tylko śmiechu nielada i sie tylko zdefraudujesz po próżnu!

A Ignac stał poważny na swojem miejscu i starał się nie zwracać uwagi na drwiące i zdziwione okrzyki znajomych; obciągnął sweter, zdjął rękawiczki i zatknął za pas, poprawił czapkę. Czekał.

— Uwaaga! — Przeciągle zakrzyczał główny sędzia zawodów. A obróciwszy się do zawodników, podniósł w górę chusteczkę i zaczął komenderować:

— Na miejsca!... Gotowi... Hop!!!



Zawodnicy zerwali się, jak wróble po strzale. Z błyskawiczną szybkością migać poczęły łyżwy, ręce nerwowo zagrzebywały powietrze, pochylone grzbiety zdawały się pruć przestrzeń. Prędzej, prędzej!!

Tłum zakołysał się i popędził za zawodnikami. Znajomi Ignaca w oszołomieniu patrzyli, jak młody kowal śmiga pośrodku końcowych łyżwiarzy. Gdzie i kiedy, do djabła, ten Szczęśniak nauczył się ślizgać?

A Ignac całą wolą starał się opanować zdenerwowanie. Nogi pracowały z szaloną szybkością, powieki od natężonego wpatrywania się w tor prawie przestały mrugać, a w mózgu tętniła uporczywa myśl: „tylko spokojnie, tylko spokojnie... zwyciężają ludzie opanowani".

Na chwilę przeraził się, ujrzawszy iż jest trzecim od końca i zgarbiwszy się jeszcze więcej, począł namiętnie wypychać się naprzód rękoma i nogami. Ale żelazna wola wnet nakazała spokój i Ignac zaczął biedz coraz równomierniej. „Mam czas! Droga jeszcze długa!"

Pierwszy most. Minęli. Łódka wmarznięta w fosę. Przelecieli. Pochylona wierzba — minęli. Prędzej, prędzej! Zawodnicy odczuwać poczęli sygnały zmęczenia.

— Można zacząć szybciej — uśmiechnął się zarumieniony od pędu powietrza Ignac.

Prędzej, prędzej!! Minął jednego, drugiego. Prędzej, prędzej. Ostry zakręt — przekładanka w lewo... Jest, jest, jest... Trzeci, czwarty, piąty... Jest, jest, jest... Prędzej, prędzej, coraz prędzej... Most, most — drugi most — tam piasek, środkowe przęsło — piasek. Zna tę drogę z nocnych treningów — piasek, więc na lewo — bo piasek, piasek... Jeden upadł, drugi upadł... Boże — jak ten trzeci upadł — piasek, przeklęty piasek — na lewo, na lewo... Jest, jest... Prędzej, teraz prędzej... Bieg, bieg, bieg!! Jeszcze trzech, tylko trzech — mig, mig, mig, mig...

Jak wiatr pędził Ignac po śliczym torze lodowym. Oczy błyszczały niezłomną wolą zwycięstwa. Zdrowe płuca młodego kowala wciągały z rozkoszą mroźne powietrze, silne mięśnie nóg nie odczuwały zmęczenia. Doskonały tancerz i pływak po dwumiesięcznych nocnych ćwiczeniach czuł się na lodzie wspaniale.

Prędzej, prędzej... Jeszcze tylko dwóch. Ten z Poznania najgorszy; rękoma prawie nie macha — a pędzi, jak błyskawica. Ale to nic, ale to nic, nic, nic, nic... Prędzej, prędzej! Znów zakręt — zakręt — zakręt! Wziąć go z lewa? wziąć go z lewa? Spróbuję. Spróbuję... Biorę, biorę — jest!!

Został tylko Poznańczyk, Pochylony Ignac nie widział nic — prócz pleców przeciwnika i majaczącego w dali tłumu widzów. Usta nerwowo łapały powietrze, serce biło, jak młot.

Prędzej, prędzej... Tłum blisko, coraz bliżej... Tam już meta, będzie meta, będzie taśma, będzie taśma... Więc prędzej, coraz prędzej... Mach, mach, mach... Jeszcze prędzej, jeszcze prędzej... Tak, tak, tak, tak... Plecy — tuż, plecy — tuż, tuż, tuż, tuż... Mocniej, jeszcze mocniej... Tuż, tuż, tuż... Teraz — obok, więc prędzej, prędzej... Mija... mija... mija... Oddech za nim tuż — tuż, tuż, tuż. Prędzej... Jeeeest!!!

Ignac przerwał taśmę. — W oczach migały mu tysiące roznamiętnionych twarzy, do uszu wdzierały się setki wrzaskliwych wiwatów, a tętnice zdawało się rozsadzą skronie. Począł hamować bieg i wyprostowywać zbolały grzbiet.

Bambaju.

Wilno nad Wisłą. To nie żart ale fakt. Oto w Kanadzie w prowincji Ontario założyli w latach siedmdziesiątych ubiegłego wieku osadnicy kaszubscy kolonję, która do dzisiaj istnieje. Nazwano ją Wilnem, zaś rzeczkę, nad którą osada powstała Wisłą.

Polskie kolonje w Bośni. Czy wiecie coś o kolonjach polskich w Bośni? Koło Banjaluki znajduje się szereg wsi polskich (Nw. Martynie, Rakowiec i inne). Liczą one około 10.000 Polaków, osiedlonych tu przez rząd austrjacki. Wybijają się one z pośród prawosławnych wsi serbskich swą kulturą.

S. D.



»Samowystarczalność«. Fot. W. Chromiński

Z gawęd Naczelnego Skauta.

Uszczęśliwianie.

Nie bojąc się nazwania mnie piłą, chciałbym raz jeszcze wskazać kierunek, w którym możemy postąpić naprzód. Jest jedna rzecz, którą *możemy* zrobić przez naszych chłopców, jeżeli nie mierzymy za wysoko, ani nie idziemy za szybkim krokiem, ani nie bierzemy sprawy zbyt ciężko.

Tą rzeczą jest wielka drobna usługa uszczęśliwiania (happifying). To stare angielskie słowo, które wyżej przytoczyłem, używane przez Szekspira, a przywrócone językowi przez Sir Henry Newbolt'a, jest jednem z tych, o których należy pamiętać przy wychowywaniu naszych chłopców — a zwłaszcza w obecnym okresie roku, kiedy stoimy bliżej Chrystusowego żłóbka. Gdy chłopiec ma na ulicy pogodną minę, to już jest coś. (Nie zapominajcie, że uczy się tego na przykładzie swego instruktora). Rozwesela ona lub wyjaśnia oblicza mnóstwa przechodniów, którzy kiedyindziej widzą tylko przygniatające setki ponurych twarzy. Ponurość zarówno jak i pogoda są jednako zaraźliwe. Doprowadzenie chłopca do tego jako do pierwszego szczebla większych usług w uszczęśliwianiu, jest rzeczą wartą trudu. Pragnienie uszczęśliwiania, skoro zostanie tylko raz wszczepione w charakter chłopca, stanie się tem, co go będzie wyróżniać w późniejszem życiu w stosunkach z ludźmi i w postawie wobec społeczeństwa. Zrobi ono z niego „szczęśliwego, pomocnego obywatela", którego potrzebujemy, a to jest wkońcu prawdziwem dążeniem naszych poczynań harcerskich.

Że ideał ten jest przy pracy, przejawia już w wspaniały sposób duch starszego harcerstwa. Bieżący rok wielkiego Dżembori przyniesie nam legjon chłopców, którzy będą chcieli wejść z nami w braterskie stosunki. I to będzie wielką sposobnością dla włóczęgów, aby pójść drogą uszczęśliwiania przez poświęcenie się tym chłopcom i niedopuszczenia, aby odjechali od nas z pustem sercem.

Oto zadanie uszczęśliwiania otwarte dla nas wszystkich, instruktorów, włóczęgów i harcerzy. Weźmy je na siebie i zróbmy uszczęśliwianie naszem zawołaniem na rok 1929.

(The Scouter, styczeń 1929, tłum. J. P. G.)

Co wiemy nowego o Dżembori.

Wszechświatowe Dżembori harcerskie odbędzie się w Arrowe Park koło Birkenhead w hrabstwie Chester i wyznaczone zostało na dni od 31 lipca do 13 sierpnia 1929. Arrowe Park, położony w terenie falistym jest obszarem dworskim wielkości 450 morgów ang. ziemi pokrytej trawą. Znajdą tam pomieszczenie obozy 15.000 harcerzy brytyjskich, pomieszanych z reprezentacjami kolonjalnemi i zagranicznemi.

Każda reprezentacja dostanie działkę pod własne namioty, które można przywieźć ze sobą lub zamówić na miejscu. Oprócz kilku sklepów harcerskich, będzie cała ulica sklepów zaopatrujących obóz w wszelkie potrzeby. Myślą przewodnią Zlotu jest to, aby każda reprezentacja nadała swemu obozowi charakter narodowy i aby urządzała w nim narodowe przedstawienia wszelkiego rodzaju. Należy się spodziewać, że z nad wszystkich obozów będą wesoło powiewać chorągwie.

W Arrowe Park znajduje się jezioro, a w West Kirby nad morzem piękne wybrzeże do kąpieli, gdzie skauci morscy będą mogli urządzać ładne pokazy sztuki żeglarskiej i pływania.

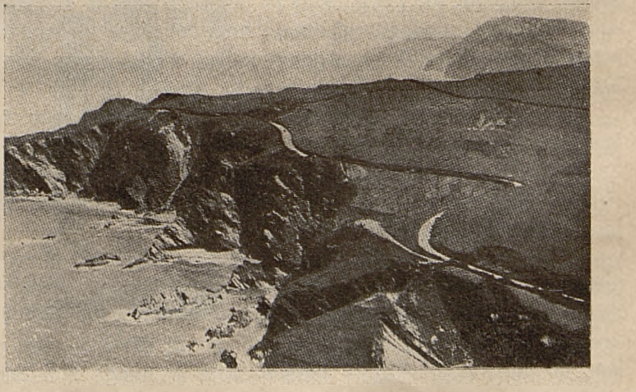
Dojazd do Arrowe Park jest możliwy ze stacyj Upton i Birkenhead. Angielskie towarzystwa kolejowe i okrętowe, jakoteż władze celne, przyrzekły daleko idące ułatwienia przybywającym na Dżembori.

Komendantem obozu będzie Generał brygady Godfrey-Faussett. Przyjazd drużyn na Zlot spodziewany jest 30 lipca, pierwszym dniem odjazdu jest 13 sierpnia. Goście będą mogli zwiedzać obóz prawdopodobnie codzień od godz. 12 do 9 wieczór, a każdy dzień będzie się kończył zapalaniem ognisk, przy których także publiczność będzie mogła zasiadać.

Wszystkie reprezentacje płacą swe koszta podróży do Birkenhead i z powrotem, a podczas dwutygodniowego pobytu w obozie 1 s. 6 d. (zł. 3.30) dziennie od każdego harcerza, za teren, niegotowaną strawę, wodę i drzewo na opał. Pozatem płacą reprezentacje kolonjalne i zagraniczne dodatkowe 1 s. 6 d. od harcerza dziennie, ponieważ ułożono dla nich bogaty program wycieczek do okręgu przemysłowego nad rzeką Mersey (Liverpool i. i.), hrabstwa Chester i północnej Walji (m. i. spinaczka na górę Snowden 1085 m.).

Wszelkie inne wycieczki koleją po Wielkiej Brytanji będą uzgodnione przez Główną Kwaterę Imperjum. Należy się spodziewać, że obce drużyny będą chciały zwiedzić Londyn przed lub po Zlocie, wiadomo już n. p., że 500 harcerzy australskich pragnie poznać pozatem Szkocję i jej jeziora.

Dotychczasowe zgłoszenia liczbowe przedstawiają się jak następuje: Danja 2000, Francja, Niderlandy i Stany Zjednoczone po 1000, Polska, Szwecja i Norwegja po 500, Węgry i Belgja po 400, Austrja 200, Czechosłowacja 150, Finlandja 100. Z dominjów i kolonij brytyjskich: Australja 500, Południowa Afryka 300, Kanada 100, a pozatem reprezentacje Indyj, Nowej Zelandji, Hong-Kongu, Gibraltaru, Nowej Funlandji, Cejlonu, Wyspy św. Trójcy, Brytyjskich Indyj Zachodnich, Cypru, Wysp Malajskich, Afryki, Wschodniej i Zachodniej, t. zn. z Imperjum br.



Anglja: Ilfracombe, gościniec nadbrzeżny do Watermounth.

W obozie znajdą się także drużyny harcerzy ciemnych, głuchoniemych i ułomnych. Pozatem drużyny brytyjskie, które będą chciały wziąć udział w Dżembori, a które nie znalazły pomieszczenia w kontyngencie 15.000 harcerzy z wysp brytyjskich, będą mogły rozbijać swe obozy na terenach sąsiadujących z Arrowe Park.

J. P. G.

Sir Robert Baden-Powell o Starszem Harcerstwie.

24 listopada odbyła się w Londynie konferencja kierowników Starszego Harcerstwa („Włóczęgów"), na którą Skaut Naczelny z powodu niemożności przybycia, wywołanej chorobą, przesłał swoje uwagi, prosząc mianowicie, aby przy powzięciu ostatecznych uchwał mieć przed oczyma co następuje:

„1. Że włóczędzy są harcerzami i że podstawą ich jest duch harcerski i atmosfera życia na świeżem powietrzu.

2. Że służenie innym nie jest obce codziennemu życiu i pracy włóczęgów. Dobre wykonywanie swego zawodu jest cząstką ich służby dla ogółu.

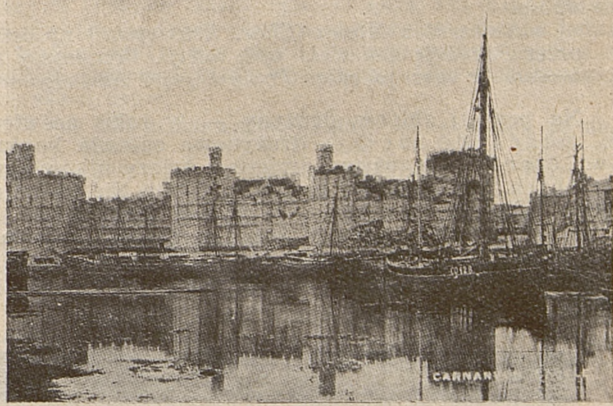
3. Że włóczęgostwo jest po części przygotowaniem do życia, a także uzupełnieniem życia.

4. Że konsekwentna wytrwałość jest niezwykle rzadką i cenną stroną charakteru i dlatego bardzo potrzebną dzisiejszej młodzieży. Można ją zaś rozwinąć przez włóczęgostwo.

5. Że tworząc jakiekolwiek prawa lub wzory dla Starszego Harcerstwa, niechaj będą one przedewszystkiem giętkie. Trzeba patrzeć daleko, ponieważ jeżeli zostaną ustanowione z szerokiego punktu widzenia, znajdą zastosowanie nietylko w Londynie i w Pudlington-in-the-Marsh, ale i w naszych dalekich zamorskich dominjach, a także w obcych krajach, które wszystkie szukają u nas wskazówek i przykładu.

6. Że włóczęgostwo jest nie po to, aby zrobić z mężczyzny zadowolonego z siebie franta lub melancholijnego świętego, lecz aby pomóc mu w skierowaniu jego młodocianej energji na ścieżki, które przyniosą mu więcej szczęścia z powodu życia, które przez swą służbę dla bliźnich jest warte tego, aby zostało przeżyte".

(The Scouter, styczeń 1929, tłum. J. P. G.)



Anglja: Zamek Carnarvon z zewnątrz (Walja).

ROLAND SPENCER.

Wyprawa do bieguna.

Przerobiła Z. Bastgenówna.

(Dokończenie)

„Radosny powrót".

W dworku czyżewskim panował smutek rozpaczliwy. Służba chodziła na palcach i rozmawiała szeptem, jakgdyby była śmierć w domu. Służący Józef spostrzegł nadchodzącego z drogi pana domu, więc pośpieszył otworzyć mu drzwi. Pan Czyżowski wszedł do swego pokoju i rzucił rękawice i czapkę na stół:

— Gdzie pani? — spytał zmęczonym głosem.

— Pani? Na górze — odpowiedział cicho służący. — O, właśnie schodzi — dodał, wymykając się na palcach z pokoju, do którego właśnie weszła matka Jasia.

— Oh! Karolu! Znowu nic! — wyszepnęła z bólem, widząc smutny wyraz twarzy męża i domyślając się bezowocności wysiłków.

— Uspokój się kochana — na wszystkie strony wysłani ludzie...

— Tak, ale pomyśl, że już od wczoraj popołudnia szukają nadaremnie!

— A jeżeli zbłądził na moczary? — tu głos się jej załamał rozpaczliwie.

— Ale skądże! — próbował uspokoić ją mąż — pewnie gdzieś siedzi w jakiejś chacie. Usiądź proszę, drżysz cała.

W tej chwili usłyszeli oboje tupot nóg w sieni. Pokojówka Kasia wbiegła zdyszana do pokoju. Pani Czyżowska zerwała się z okrzykiem przerażenia. Mąż jej wstał również.

— Proszę pani, proszę pani — idzie dwóch chłopaków gościńcem i ciągnie sanki — a na sankach coś leży — niby dziecko owinięte.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy pan, jak stał, bez czapki, wybiegł z domu. Rzeczywiście, dwóch chłopców zmęczonych i zmarzniętych ciągnęło sanki z wysiłkiem. Jurek i Staszek ze zdziwieniem popatrzyli na pędzącego pana Cz. Jurek pierwszy zrozumiał o co chodzi.

— Nic mu nie jest proszę pana — tylko zmęczony, śpi na sankach.

Pan Cz. pochwycił Jasia poowijanego w koce i z okrzykiem „Bogu dzięki!" — obrócił się i popędził z powrotem do domu.

Chłopcy zostali sami na drodze. Popatrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Staszek rzekł z uśmiechem na zmęczonej twarzy:

— Wiesz co Jurek — jednak nasza wyprawa podróżnicza to był mądry pomysł, co?

— Uhum — mruknął Jurek.

Z westchnieniem, zapiąwszy szczelniej kurtki, chłopcy ruszyli z opróżnionemi sankami w kierunku pierwszej chaty — niezatrzymywani przez nikogo. Właśnie kończyli skromne śniadanie i rozmawiali z poczciwą, a ciekawą gospodynią, gdy wpadł, jak burza, ojciec Jasia z rozpromienioną twarzą wyciągając ramiona do chłopców.

— Darujcie — rzekł, ściskając im dłonie — potraciliśmy wszyscy głowy z wielkiej radości. Musicie zaraz przyjść do nas, nie puścimy was tak prędko. Jasiek się zbudził — cały i zdrów! Z uwielbieniem mówi o was, jak uratowaliście go od śmierci — jakie z was dzielne, kochane chłopaki, rzetelni harcerze. Chce i on harcerzem zostać jak najprędzej i woła ciągle, że musicie zostać z nim tak długo! Nie odmawajcie więc proszę, nie psujcie nam naszego szczęścia!

Nie było więc rady. „Podróżnicy" zamiast uporczywie dążyć bez wytchnienia do zaleskiego „bieguna", wysłali czemprędzej list do rodziców, którzy chętnie zgodzili się na ich tygodniowy pobyt na „Nowej Ziemi" Czyżewskich, przez nich odkrytej!

Rozstrzygnięcie Konkursu Baden-Powellowskiego.

Sąd konkursowy przyznał nagrodę wartości 10 zł. „Skoczkowi".

Z niczego coś.

Zdobycie funduszów na prowadzenie pracy w każdej organizacji przedstawia mniej więcej te same trudności.

Harcerki z Mielca (Chor. Krakowska) uproszone przez Redakcję nadesłały opis loterji, urządzonej pod hasłem »z niczego coś«. Pomysł wart naśladowania!

..Na pewnej zbiórce drużyny — w roku poświęconym „oszczędności" — drużynowa ogłosiła konkurs na wykonanie jakiegoś przedmiotu z rzeczy nikomu niepotrzebnych, które znaleść można w domu. Nie wolno nic nowego dokupywać, a zatem wydawać pieniędzy.

Po odczytaniu rozkazu jedna z druhen zawołała: „Któż potrafi zrobić z niczego coś?

Bardzo się wszystkim to określenie konkursu podobało.

Za tydzień — bo taki był termin konkursu — drużynowa, stojąc przed stolikiem, założonym gracikami, patrzy i dziwi się. Wynik konkursu przeszedł najśmielszą myśl projektodawczyni. Tu pantofle ranne, sporządzone ze starego kapelusza, ściągniętego ze strychu, tu malutka chusteczka (z kawałka jedwabiu, który został od sukni), ślicznie obdziergana, dalej gustowna kasetka z pocztówek, pięknie dobranych, również z pocztówek tacka i bucik na zegarek, poduszeczki na igły rozmaitego kształtu zrobione z odpadków różnych materjałów, a z całkiem małych odpadków sukna utoczona wspaniała piłka do gier. Z najzwyczajniejszej flaszki — flakon na kwiaty, malowany farbą olejną. Inny flakon ze słoika z musztardy. Pudełko apteczne z pigułek przemienione na przepiękną kasetkę na biżuterję, ozdobioną mozajkowemi nalepiankami z kolorowego papieru. Lalka markiza z jedwabnych gałganów, kanapa i fotele klubowe dla lalki, sporządzone z pudełek od zapałek, oblepionych lśniącym, bronzowym papierem i wiele innych ładnych zabawek i pudełek, szpulek, patyczków i t. p.

...Gdy na Radzie Drużyny omawiano sprawę imprez dochodowych, jedna z druhen zaproponowała urządzenie dla dzieci, ramki, notesiki, zakładki do książek, obsadki do piór, wycieraczki do piór, teczki, pocztówki ręcznie malowane i kilkanaście roślin wazonkowych wyhodowanych przez druhny.



Dn. 17 i 18. XI. ub. r. odbyła się w Katowicach Odprawa Drużynowych Chorągwi Śl. — Zdjęcie przedstawia uczestników Zjazdu. W środku przewodn. Zarządu Oddziału, Dhna Jordanówna, na prawo Naczelnik Głównej Kwatery, Druh St. Sedlaczek i Komendant Chor. Śl. Dh. M. Łowiński. Na lewo członkowie Komendy: Dh. H. Kapiszewski i Dh. Dyr. G. Rokita.

loterji fantowej. Nie przyjęto jednak tego wniosku, bo z loterją fantową idą zwykle w parze zawód i rozgoryczenie, a harcerki nie powinny być sprawcami tych smętnych stanów duszy.

To niech na naszej loterji nie będzie pustych losów, umiemy przecież robić z „niczego coś" — fanty więc nic nas nie będą kosztować — odezwała się któraś.

Projekt ten przyjęto jednomyślnie i uchwalono, że każda harcerka ma dostarczyć dziesięć fantów na loterję, która odbędzie się za miesiąc.

Z niedowierzaniem odczytywała młodzież szkolna ogłoszenie tej dziwnej loterji, na której każdy los wygrywa...

A praca w zastępach wrzała..

W dniu oznaczonym znalazło się na stołach 400 fantów, a w kasetkach 400 losów do rozsprzedaży.

Oprócz pomysłów konkursowych było jeszcze wiele innych drobnych, ale miłych i starannie wykonanych gracików. Małe haftowane chusteczki, serwetki, zabawki

W 10-ciu minutach stoły opustoszały, a twarze gości były rozradowane — jednak pełnej radości nigdy nie można osiągnąć. Było wiele osób zawiedzionych, dla których zabrakło losów. Te mówiły: „Zróbcie jeszcze raz taką loterję!" No, ale harcerki nasze poczekać muszą aż znów nazbiera się w domu trochę niepotrzebnych rupieci, żeby mogły robić „z niczego — coś!"

Tymczasem może inne drużyny skorzystają z naszych doświadczeń.

POLSKA REPUBLIKA: MARCHLEWSK.

— Czy wiecie, że na Ukrainie koło Żytomierza i Zwiahla istnieje maleńka republika polska? Ośrodkiem jej jest wieś Dołbycz, obecnie nazwana ku czci wybitnego komunisty polskiego Marchlewskiem. Obszar tej „republiki", a raczej rejonu autonomicznego polskiego wynosi 660 km.² t. j. równy jest n. p. powiatowi krakowskiemu, wśród zaś 40.000 mieszkańców tego obszaru jest 70% polskich rolników. Szkoły i sądy są tam polskie, ale oczywiście komunistyczne.

Z życia „Szafirowych Ptaków“

III. żeńskiej Rzeszowskiej Drużyny.

III. drużyna rzeszowska istnieje już pełnych lat ośm. Nazywa się „Ogniwem“ harcerskiego łańcucha a w godle swem nosi szafirowy bławatek. Zastępy jej — to ptaków gromada! Sędziwe i mądre „Wróble“, których hasłem jest „chwytać chwilę za przedni wierzchołek“ dalej „Czajki-Kiwilly“, „delikatne Jaskółki“, „zielone Dzięcioły“, śmiejące się rozgłośnie Ha — aa — ha! Gwarno jest i wesoło, gdy ludek ten ptasi zleci się do swego „Gniazdka“ w suterenach Gimnazjum. Gniazdko przybiera wówczas zawsze odświętne szaty. Blaski zachodzącego słońca poprzez igliwie sosen (tajemnica zastępu czajek) oświecają szczuplutką izdebkę, bardzo niską, lecz zato dziwnie swojską, długi rząd brzozowych pniaczków wzdłuż białych ścian i... rzeczywiste gniazdko strzyżyka strojne w kilka bławatków. Wytwarza się tajemniczy nastrój i zaczyna wieczorynka!

Opowiem wam dzisiaj, jakim obrzędem zaczęły „Szafirowe Ptaki“ przeszły rok pracy w harcerskiej drużynie. Wyczytały one gdzieś w starych księgach, że strzyżyk, zbudowawszy sobie z wiosną gniazdko wrzuca doń kamyk zaczarowany, aby przez rok cały przynosił mu szczęście. Wiara strzyżyka udzieliła się harcerskim ptakom. I one pragnęły zakląć w swem gniazdku szczęście na nowy rok pracy. Zleciały się więc tłumnie w słoneczny, a mroźny dzień styczniowy i w ciszy głębokiej, by nie budzić uśpionych pod śniegowym puchem pól — wyszły na harce. „Szukano skarbu“ — zaczarowanego kamyka, aby przynieść go tryumfalnie do izby. A droga była doń ciężka! Trzeba było tropić — sygnalizować, odczytywać tajemnicze, szyfrowane listy i to w największym pośpiechu, by nie dać się wyprzedzić innym zastępom. — Powagę cichych pól zmącił nagle jeden jedyny głośny i radosny okrzyk! Skarb znaleziony! Zwycięski zastęp dzierżył w ręku znak harcerski — lilijkę“.

Przyniesiono ją do izby. W ciszy głębokiej ugrupowały się zastępy w trójkąty, na czele stanęły zastępowe. Drużynowa odebrała lilijkę — i w krótkich, lecz przekonywujących słowach tłumaczyła, że znak ten harc. dziwną, zaczarowaną ma moc — przynosi szczęście. Trzeba jednak, by głęboko wrył się w serca, by zrozumiano go i w codziennem szczerem życiu wypełniano jego wskazania „10 harcerskich praw“.

W tej chwili zastępowe podały sobie dłonie na znak wspólnej, zgodnej pracy zastępów i w izbie rozbrzmiał gromki okrzyk niby przysięga „Wszystkie się starać będziemy“. Znak lilijki spoczął w gniazdku storczyka, symbolizującym izbę na rok cały. Miał przynieść szczęście... Prysło milczenie! Zapał ogarnął zebranych i potoczyły się pieśni harcerskie poważne i radosne, głosząc światu, że żyje i czuwa harcerska brać.

A potem gawędzono długo jeszcze o tem, czem jest szczęście? Zastępowe opowiadały legendy i przypowieści różne o szczęściu, ktoś zadeklamował — i czas płynął, budząc u obecnych przekonanie, że szczęście harcerskie — to praca ochotna i radosna, to zadowolenie z życia, poczucie własnej moralnej wartości i użyteczności dla świata.

Nakoniec skreślono wówczas jeszcze wytyczne plany rocznej pracy zastępów i całej III drużyny i postanowiono wziąć się do pracy z zapałem, by znaleźć szczęście. Miała je przynieść lilijka, o mocy czarodziejskiej w harcerskiem gniazdku.

...I przyniosła! Szafirowa Trójka rzeszowska nie zmarnowała ostatniego roku — i dziś z niemniejszym zapałem przygotowuje się do urządzenia nowego obrzędu. Możliwe, że obmyśli coś całkiem nowego — tego już wiedzieć nie mogę! *Irena.*

Co słychać w Harcerstwie?

— W Warszawie otwarto świetlicę starszoharcerską, dla członków zrzeszeń St. H. i instruktorów.

— Harcerze w Rawiczu założyli hodowlę pieczarek, które, jak wiadomo, cieszą się dużym popytem.

— Dh. Hm. Rz. Władysław Nekrasz opracowuje historję udziału Harcerstwa w walkach 1914—1920 i prosi wszystkich o nadsyłanie materjałów pod adresem: Łuck. ul. Kumowska.

— W Poznaniu powstała I. Lotnicza Dżna im. gen. H. Dąbrowskiego.

— W Łodzi rozwinęła dużą działalność Bibljoteka Miejscowych Chorągwi, licząca tysiąc pięćset tomów. W ub. r. korzystało z niej 4233 czytelników.

— Chorągiew Śląska przoduje w wyszkoleniu w. f. i p. w. Dowodem: pierwsze miejsce w zawodach korespondencyjnych, lekkoatletycznych i zwycięstwo w związkowych zawodach strzeleckich.

— Z pośród wielu opłatków, urządzanych na terenie Chorągwi Śląskiej, wybiła się uroczystość w Małej Dąbrówce, na którą przybyli harcerze z hufca będzińskiego i z Bytomia, uświetniona chóralnym śpiewem chłopców, przygotowanym przez p. Bożka. W opłatku wzięli udział przedstawiciele starszego społeczeństwa z Ks. proboszczem Koziołkiem na czele.

— Komenda Śl. Chor. organizuje w dn. 2 i 3 marca I. Harcerskie Zawody Narciarskie na Magórce k. Bielska. Start i meta przy schronisku polskiem. Konkurencje: 1) kombinacja: bieg indywidualny i jazda piękna, 2) bieg indywidualny 8 klm. (jun.) i 12 (klm. (senj.), 3) Biegi drużynowe.

Jazda piękna składa się z nast. ewolucyj: a) płużenie, b) telemark, c) kristjanja, d) skok.

Zgłoszenia nadsyłać pod adresem: Inż. M. Affanasowicz, Bielsko, szkoła przemysłowa.

— Drużyna St. Harcerzy im. R. Traugutta w Pabjanicach utworzyła referat prasowy.

— 5 b. m. odbyły się wybory kandydatów na stanowisko komendantów Chor. Stołecznej. Wybrano dhów Pawłowskiego i Ludwiga.

— W ostatnim czasie skład Kdy Chor. Krakowskiej uległ znacznym zmianom i przedstawia się następująco: Komendant, ks. M. Luzar, I zca — hm. K. Stawarski, II zca — cźł. cz. M. Murczyński, ref. org. — hm. Al. Ssholze, II zca — czł. cz. M. Murczyński, ref. org. — hm. Al. Scholze, towy — phm. Jamrozik, propagandy i prasy — phm. J. Korpala, gospod. — hm. Ad. Launer, ref. w. f. i p. w. — M. Gorzeński, St. Harc. — phm. T. Wąsowicz, sekretrz — phm. J. Wnęk, archiwarjusz — phm. J. Garbacik.

— W dn. 2 i 3 b. m. odbył się zjazd Naczelnej Rady, na którym postanowiono Zjazd walny Związku zwołać na jesień.

— Zjazdy Walne Oddziałów odbędą się: Śląskiego — 24 marca, Krakowskiego — 17 marca.

— 1. IV. mija termin zgłaszania drużyn na zlot narodowy.

— Ustalono następujący program konkursów i zawodów na zlocie narod.: najlepsze sprawozdanie z pracy od czasów powstania drużyny, najlepsza wyprawa, najl. obozowanie, „swojszczyzna“, praca dla całości obozu (chorągwie), służba samarytańska, sygnalizacja, pionierka, harcerski bieg z przeszkodami, wycieczka 24-godzinna, śpiew, muzyka, tańce narod., przedstawienia, pokazy 15-minutowe, zawody w. f. i p. w.

— Harcerze, pragnący korespondować ze skautami ang., niech się zwrócą: Scout Macgowan, 28, Robson Street, Govanhill, Glasgow, Scotland — oraz Scout Cairney, 165 Butterbiggins Rood, Govanhill Glasgow, Scotland.

— 23 i 24 b. m. odbędą się w Nowym Sączu zawody narciarskie Chor. Krakowskiej.



Motocykl narciarski na Baraniej Górze.



Wychowanie fizyczne a sport.

I.

W latach powojennych jesteśmy świadkami niebywałego wprost zainteresowania się społeczeństw sprawami wychowania fizycznego i sportu. Jednakże z jednej strony podciąga się pod pojęcie sportu różne rodzaje nieraz akrobatycznych i nonsensownych ćwiczeń, z drugiej miesza się i identyfikuje, — jak się przekonamy, najniesłuszniej — sport z wychowaniem fizycznem. Z jednej strony słyszymy o różnych uczelniach wychowania fizycznego, opartych na kształceniu uniwersyteckiem, trwającem kilka lat, z drugiej widzimy działalność różnych stowarzyszeń, związków, klubów sportowych i t. p., w których pracę nad wychowaniem fizycznem, prowadzą ludzie bez żadnego przygotowania naukowego, różni instruktorzy i trenerzy, nie mający żadnego, choćby słabego pojęcia, o prawach i możliwościach organizmu ludzkiego. Dzięki kompletnej ignoracji społeczeństwa w sprawach wychowania fizycznego, działalność tych ludzi znajduje nietylko aprobatę, ale nawet uznanie i tak rośnie chaos i utrwalają się błędy i opaczne pojęcia w tej dziedzinie w szerokich masach laików.

Czas nawyższy skończyć z dyletantyzmem, brakiem fachowości i nieuctwem w wychowaniu fizycznem, czas najwyższy, aby społeczeństwo zorjentowało się, że nie wszystko co dziś nazywa sportem, gimnastyką, czy wychowaniem fizycznem jest dobre, celowe i zdrowe. Im prędzej to nastąpi, tem lepiej zarówno dla społeczeństwa, jak i dla samej idei wychowania fizycznego.

Pierwszym krokiem w tym kierunku jest zdanie sobie sprawy z tego, co to jest wychowanie fizyczne, co jest istotą sportu i uświadomić sobie różnice zachodzące pomiędzy oboma temi pojęciami. Samo pojęcie wychowania fizycznego wskazuje nam na jego główny cel. Jest nim w y c h o w a n i e c z ł o w i e k a za pomocą środków natury fizycznej. Uprawianie ćwiczeń i ruchu nie ma na celu jedynie zdobycia sprawności fizycznej, ale wyrobienie wszechstronne ciała w harmonijnej zgodzie z rozwojem ducha, charakteru i woli, oraz utrzymanie zdrowia, wytrwałości, pogody ducha i stałości nerwów. Jest to wychowanie przez czyn, działanie i wysiłek, podejmowany przez wychowanka i to dobrowolnie.

Jasnem jest, że, aby móc osiągnąć te cele, musimy się oprzeć na takiej znajomości ciała i ducha, któraby pozwalała kierownikowi wychowania fizycznego na swobodny wybór o d p o w i e d n i c h, r a c j o n a l n y c h i c e l o w y c h ś r o d k ó w. Z jednej więc strony musi on zdobyć znajomość budowy i praw funkcjonowania organizmu ludzkiego i jego rozwoju, oraz warunków utrzymania zdrowia, a więc poznać anatomję, fizjologję, biologję i higjenę, z drugiej zaznajomić się z psychologją i pedagogiką, jako z naukami, które dają mu podstawy swobodnego poruszania się w sprawach wychowania umysłowego i moralnego.

Po tem co powiedziałem łatwo zrozumieć, że wychowawca fizyczny, aby jego praca była celowa i w zgodzie z podstawami nauk o człowieku, którego ma urobić i wychować, musi pojęcie swej wiedzy teoretycznej i praktycznej na takiej postawić wyżynie, aby mógł z całą świadomością celu i zdrowym osądem krytycznym stosować środki, stające mu do dyspozycji w jego pracy.

Ponieważ mowa o wychowaniu, więc o urabianiu człowieka, z natury rzeczy wychowanie fizyczne będzie odnosiło się w najwyższej mierze do wieku, w którym to wychowanie jest sprawą najważniejszą, t. j. do dzieci i młodzieży — jednakże i wiek dojrzały, acz w mniejszym stopniu, nie powinien być zupełnie usunięty z dodatnich wpływów wychowania fizycznego. Zdobycie, czy zachowanie zdrowia, wytrwałości i siły, pogody ducha i woli są dla każdego wieku zawsze pożądane.

Ustaliwszy sobie tak cele wychowania fizycznego i w związku z nimi dobór odpowiednich środków, zastanówmy się nad pojęciem s p o r t u. Przedewszystkiem chciałbym odrazu zwrócić uwagę na fakt niezwykłej rozciągliwości tego pojęcia. Pochopnie bowiem podciąga się pod nie cały szereg zajęć właściwie z ruchem ćwiczenia ciała nie mającem nic wspólnego (np. automobilizm) lub też włącza się ćwiczenia będące pospolitem siłactwem (podnoszenie ciężarów, zapasy ciężkoatletyczne), albo znów z drugiej strony nie zalicza się do sportu szeregu gier ruchowych.

Drugą kwestją, która powoduje niezliczone zamieszanie, to sprawa rozstrzygnięcia, czy sport może uprawiać każdy laik, poznawszy jego techniczne arkana, czy też jest on nierozłącznie związany z współzawodnictwem, rekordem, zawodami, no i związkami i z towarzystwami sportowemi. Na tym punkcie niema żadnego kryterjum oceny i sportowcem nazywa się równie dobrze rekordzistę Polski, jak i człowieka, nigdy do zawodów nie stającego i nie polującego na wyczyny.

Zdaniem naszem istotą sportu, jak się go dziś pojmuje, jest wyczyn, rekord, maksymalny wynik, związany z najwyższym wysiłkiem mięśni i nerwów. Otóż jest to zasada, na którą żaden prawowity wychowawca fizyczny zgodzić się nie może. Zasada to jest bowiem wypaczeniem idei wychowania fizycznego na całej linji. Z punktu widzenia zdrowotnego oznacza ona nadużywanie organizmu i rabunkową gospodarkę jego, siłami, — biorąc pod uwagę punkt widzenia wychowawczy, burzy ona harmonję rozwoju człowieka, powodując rozwój ciała i podnoszenie jego sprawności do ostatecznych granic kosztem rozwoju ducha i inteligencji — pod względem zaś moralnym działa ona zgubnie na młode i wrażliwe dusze, wyrabiając częstokroć głupią zarozumiałość, brutalność i niezdrową ambicję — wreszcie społecznie — wykolejając nieraz zdolne jednostki, czyniąc je nieroukami, ludźmi bez zajęcia, niezadowolonymi z życia, będąc powodem profesjonizmu i wszystkich jego ujemnych skutków.

Należałoby więc dla dobra wychowania fizycznego i samego sportu wyodrębnić i przeprowadzić najściślejszą granicę pomiędzy s p o r t e m s t o w a r z y s z e n i o w y m, w i d o w i s k o w y m, r e k o r d o w y m — a sportem, jako ćwiczeniem ciała, uprawianem dla zdrowia. Zaznaczyć pragnę, że nie chodzi tu o zupełne wyeliminowanie czynnika współzawodnictwa i pewnego wysiłku fizycznego, które mają wielkie znaczenie wychowawcze dla kształcenia charakteru woli — lecz o usunięcie mas od niezaprzeczalnie niezdrowych i zgubnych wpływów sportu widowiskowego.

Szczęśliwe kraje skandynawskie dawno już tę granicę między temi dwoma rodzajami sportu ustanowiły, stwarzając pojęcie wolnego sportu (zabawy sportowej) „idrott", (słowo, które trudno przetłumaczyć), oraz ustanowiszy t. zw. oznakę sportową — idrottsmärke. Zdobyć ją zaś może każdy osobnik odpowiedniego wieku, po osią-

gnięciu pewnego ogólnego i możliwie wszechstronniejszego stopnia sprawności fizycznej, której miara nie przekracza średniej możliwości przeciętnego osobnika. W ten sposób idrottsmärke staje się czynnikiem podnoszącym ogólną sprawność cielesną młodzieży, pobudzającym do stałego uprawiania ćwiczeń, które staje się z czasem drugą naturą człowieka, a przez to podnoszącym w sposób znakomity zdrowotność i dzielność społeczeństwa.

I u nas w Polsce zaprowadzono za tym przykładem oznakę sportową. Uczynił to pierwszy Polski Związek Narciarski, w sposób może jeszcze niezbyt doskonały, ale z pewną dobrą wolą i wychowawczą myślą wielkiej wartości. Oznaka ta tyczy wprawdzie tylko jednego sportu, ale zato sportu, który rozwija wszechstronnie i którego wartość zdrowotna i społeczna ze względu na porę roku, w której narciarstwo jest uprawiane, jest olbrzymia.

Tak pojęty sport może stać się niezwykle ważnym czynnikiem wychowania fizycznego, czynnikiem kolosalnej wartości ze względu na niezwykle bogactwo środków, wartości wychowawcze i pociągającą formę ćwiczenia ciała. Zważmy jednakże, że uprawiać sport można dopiero po osiągnięciu pewnej granicy wieku (15—16 lat) — dalej, że uprawianie sportu wymaga znacznego przygotowania i wyrobienia cielesnego, które trzeba osiągnąć trwałem ćwiczeniem, uprawianem bez względu na porę roku, i środkami ujętemi planowo w pewien system. Tu przychodzi do głosu g i m n a s t y k a, jako systematyczne ćwiczenie ciała i doniosły środek wychowawczy. O znaczeniu zaś gimnastyki w wychowaniu fizycznem powiemy następnym razem.

Tadeusz Biernakiewicz.



Na Wołowcu.

Szybkość automobilu w dniu dzisiejszym.

W r. 1899 wyścigowy elektryczny automobil konstrukcji Francuza p. Jenatry przebył przestrzeń 1 km. z szybkością, na ówczesne czasy fenomalną, 105 km. na godzinę. Było to przed 30 laty. Od tego czasu szybkość maksymalna samochodów nie dawała spokojnie spać konstruktorom.

Poprzez etapy: w 1904 r. — 144 km/h, w 1913 — 228 km/h, dochodzą rekordy szybkości do nieprawdopodobnych wyników. Już za czasów pierwszej kolei Stefensona uczeni fizycy angielscy głosili, że szybkość 30 km/h jest zabójczą, gdyż człowiek zostanie zgnieciony przez pęd powietrza.

Nie przeczuwali, że w sto lat później szybkość ta się zdziesięciokrotni. W r. 1927, dn. 29. III. na wybrzeżu Daytona, na Florydzie, Anglik Mr. Segrave osiągnął na swoim 1000-konnym Sunbeamie 333 km. Bogaty niezależny Anglik, oddawna oddawał się konstrukcji automobili wyścigowych, będąc jednym z naczelnych inżynierów w fabryce automobili w Sunbeam.

Mr. Segrave, chcąc jak najbardziej wyśrubować rekord, zabiera się radykalnie. W specjalnie mocnem podwoziu umieszcza on dwa silniki lotnicze: jeden z przodu, drugi z tyłu wozu, każdy motor 500 koni mech. siły, — w rezultacie najsilniejszy z dotychczasowych automobili 1000 km.

Badając jak zachowują się bryły rozmaitego kształtu w szybkim prądzie powietrza i jaki stawiają opór dochodzi do przekonania, że najlepiej do tego nadaje się kształt cygara przeciętego wpół wzdłuż podłużnej osi.

Wtedy samochód wciska się między powierzchnię ziemi a warstwę powietrza, stawiając przez to najmniejszy opór. Koła i wszystkie części, wystające na zewnątrz, są w całości zakryte płaszczem z blachy stalowej, aby zmniejszyć tarcie powietrza.

Na ustanowienie rekordu wybrał brzeg morski, jako najlepiej nadający się do tak wielkich szybkości. Mokry twardy piasek przedstawia idealną nawierzchnię, nie mając żadnych wybojów ani nierówności. Drugą zaletą wybrzeża jest jego wielki obszar i przestrzeń, na której można wytyczyć trasę biegu. Trzecią to widok horyzontu morskiego i brzegu, które stanowią najlepszą wskazówkę kierunku jazdy dla kierowcy. Jadąc z szybkością 333 km. na godzinę przebywamy na sekundę przeszło 90 m.; niemożliwą jest tedy rzeczą reagować na jakiekolwiek znaki, lub przedmioty będące na, lub obok toru, gdyż przejedziemy wcześniej obok tego przedmiotu, nim zdołamy go spostrzec.

Po ustanowieniu rekordu Amerykanie, chcąc zawsze wszędzie i wszystkim, a raczej starej Europie imponować, wzięli się gorączkowo do pracy. Dwóch Yankesów stanęło w szranki. Pierwszy to Frank Lockhard na samochodzie Stutz Special 16-cylindrowym, skonstruowanym specjalnie do tego wyścigu. Miał ten samochód parę ciekawych szczegółów konstrukcyjnych, i tak motor 16-cylindrowy był złożony z dwóch ośmiocylindrowych umieszczonych na jednym wale korbowym; chłodnica, która stawia opór powietrzu, została zastąpiona przez zbiornik z lodem.

Drugi, to Ray Keach, na samochodzie Tufle, konstrukcji Mr. White z Chicago. Wóz ten, to poprostu motor, a raczej trzy motory na czterech kołach. Bez przekładni idyferenjatu był przeznaczony, aby iść jak najprędzej.

I poszedł. — Ray Keech osiągnął 334 km; niewielka to różnica, ale zawsze prędzej. Frank Lockhard zabił się, jadąc z szybkością 360 km. na godzinę.

Lecz i to było mało. Anglicy, niezadowoleni z wydarcia im palmy pierwszeństwa, starają się z powrotem uzyskać supremacje na tem polu.

Losy rozstrzygną się z wiosną tego roku. Dwóch Anglików będzie bronić honoru barw W. Brytanji.

Legrave, znany nam już rekordami z przed dwóch lat, na nowym samochodzie „Golden Anow" (złota strzała), mało przypominającym poprzedniego 1000-konnego Sunbeam'a. Przy konstrukcji Golden Anow zostały spożytkowane wszystkie spostrzeżenia i doświadczenia, zdobyte w poprzednim wyścigu.

Jako motor użyty jest 930-konny Napier, motor lotniczy tegosamego typu, na którym ustanowiono rekord szybkości w powietrzu 515 km. na godzinę. Motor ten, przy prawie 1000 koni mech. siły, waży niecałe 500 kg!

Profilowanie wozu, t. j. nadanie mu takiej formy, aby jaknajmniejszy opór w powietrzu stawiał, jest doprowadzone do ostatecznych granic.

Obecnie wóz ten znajduje się w drodze na Florydę, aby tam pokazać do czego jest zdolny. (Teoretycznie może osiągnąć 360 km. na godz.).

Wóz ten został skonstruowany w ciekawych warunkach o zwycięstwie Amerykanów, do Mr. Segrave zgłosił się starszy Anglik i powiedział: „Czy chce pan pobić rekord amerykański, aby pokazać, że Anglicy wszystko mogą? Daję 15.000 funtów szterl. (około 650 000 zł) na koszta konstrukcji nowego bolidu". W ten sposób patrjotyczny Anglik przyczynił się swoją ofiarnością do dalszych zapasów o szybkość.

Drugi Anglik, to Mr. Malcolm Campbell, na samochodzie „Blue Bird" (Niebieski Ptak). Motor tensam co w Golden Anow i na ogół cały samochód wyglądem nie różni się od swego współzawodnika. Malcolm Campbell całą zimę poszukiwał wybrzeża nadającego się do wyścigu, używając do tych poszukiwań aeroplanu. Znalazł wreszcie wymarzony brzeg w południowej Afryce koło Kapsztadu.

Tak więc w marcu, będziemy mogli śledzić wyniki tych gigantycznych zawodów, jedne w Ameryce, drugie w Afryce Poł. Kto będzie górą — niewiadomo, lecz można być pewnym, że i ten rezultat nie będzie ostatecznym, gdyż zawsze znajdzie się amator gotowy ważyć się na wszystko, aby uzyskać miano: najszybszego człowieka na ziemi.

O najszybszych ludziach w powietrzu napiszę następnym razem. *I. M. F.*

Międzynarodowe zawody narciarskie.

Przez cały pierwszy tydzień lutego oczy całej Polski były zwrócone na Międzynarodowe zawody narciarskie w Zakopanem, które miały miejsce od 4 do 11 b. m.

Międzynarodowe zawody były licznie obesłane przez pierwszorzędnych narciarzy całej Europy i tak przyjechali najlepsi narciarze krajów półn. Norwegji, Szwecji, Finowie, celujący w długodystansowych jazdach (50 km.), Anglicy (doskonali zjazdowcy), Niemcy, Francuzi, Czesi, Włosi, Austrjacy, Szwajcarowie, Węgrzy, Łotysze, Rumuni, Jugosłowianie i t. d.

Delegacje były obesłane nietylko pierwszorzędnie, ale i licznie. P. Z. N. zaś dołożył wszelkich starań, by cała ta impreza wypadła imponująco i by nie pokazała Polski w złem świetle.



Przejdźmy najpierw do strony sportowej zawodów.

Zawody obfitowały w niespodzianki oraz w szereg dobrych wyników.

I tak bieg 50 km. wypadł dla niepokonanych dotychczas Norwegów o tyle źle, że musieli ustąpić miejsce Finom i Szwedom. Zwyciężył w tym biegu Fińczyk Anselm Knuutilla w czasie 3 godz. 50 min., a więc nawet na stosunki północne czas ten był swego rodzaju rekordem. Polska usadowiła się w tym biegu na dalszych miejscach: Zdz. Motyka na miejscu 13-em, A. Krzeptowski na 14, obaj jednak mają czas już o 1 godz. 25 min. słabszy. Wykazaliśmy, że nasi sąsiedzi Czesi przodują nam w tym biegu. Odnieśliśmy w tym biegu porażkę — prawdopodobnie z powodu niedyspozycji naszego najlepszego zawodnika A. Krzeptowskiego.

Bieg zjazdowy przyniósł Polsce i całemu światu sportowemu senzację. Zwyciężył bowiem nie — jak przewidywano — Bracken (Anglik), lecz nasz zawodnik Bron. Czech. W pierwszej części zwyciężył Czech, w drugiej Bracken — w ogólnej klasyfikacji Czech (Polska) w 6 min. 52 sek., Bracken 6 min. 55 sek. Na dalszych 3 miejscach usadowili się Szwajcarzy. W tej konkurencji okazaliśmy, że przy dobrym i ciągłym treningu możemy jeszcze o wiele nasz sukces poprawić.

W biegu pań nasza rodaczka P. Staszel-Polankowa okazała się fenomenalną narciarką, nic też dziwnego, że zdobyła nieoficjalnie tytuł mistrzyni Europy.

Przestrzeń 5 km. przebyła w 31 min. 34 sek. wyprzedzając dotychczas najlepszą Friedlaenderową (Czechosłowacja). Dalsze miejsca od 3-go — 9-go zajęły Polki.

W biegu 18 km. najlepszymi znowu Finowie i to tak w złożonym, jak i otwartym. Br. Czech zdobywa 4-e miejsce, Wł. Czech 8-e, Karol Szostak 11-e. Okazuje się, że Czech jest najlepszym narciarzem środkowo europ. i to tak dobry w biegu jak i skokach. Szwedzi obstawili konkurencję nieodpowiednio. Znakomicie reprezentowali się Finowie, którzy dwukrotnie pobili Norwegów. Polska zdobyła w kombinacji 3-e miejsce, co jest wynikiem znakomitym, jakiegośmy się nawet nie spodziewali.

Wreszcie bieg patroli wojskowych był największą imprezą wojskowego narciarstwa w r. 1929, a uzyskany przez nasz patrol wynik dzięki celności strzałów postawił naszych reprezentantów na 2 miejscu. 1 miejsce zajęła patrol fińska w znakomitej formie w czasie 3 godz. 11 min. 44 sek., Polska 3 godz. 16 min. 13 sek.

Dowódcą patrolu polskiego był por. Kasprzyk Artur (21 p. a. p.), 3 miejsce zajęła Rumunja, 4 Czechosłowacja, 5 Jugosławja, 6 najgorsze patrol francuska.

Nadeszły i ostatnie konkurencje: konkurs skoków. I mimo, że w nocy 10 lutego temperatura dochodziła do —40° C. zainteresowanie ogromne. Konkurs skoków przyniósł Polsce 10 miejsce. Na miejscu tem Bron. Czech osięga skoki 50, 53.5 metra. Najlepszym był Rund, Norweg, ze skokami 57 , 55 m. Wynik naszego mistrza musimy uznać za b. dobry choć wśród zwycięzców Czecha prócz Skandynawów figurowali Niemcy: Kratzer i Recknagel.

Poza konkursem skoczył Czech Br. i Cukier Fr. po 63 m., Sieczka-Gąsienica 66 m. a Rund 71.5 m. Jest to najdłuższy skok, jaki osiągnięto na krokwi. Rozbieg przy skokach poza konkursem był pełny 95 m t. j. zwiększony o 15 m.

Ogólny wynik dla nas jest doskonały, sukcesy takie jak zwycięstwo w biegu zjazdowym, w biegu pań, 4 miejsce w kombinacji, dalej wyniki regularne w skokach i piękny wynik patrolu wojskowego świadczą najdobitniej o naszych postępach wszechstronnych.

Zawody zakopiańskie były największym ewenementem narciarskim w tym roku do największych zawodów kongresowych, które się odbędą w Oslo w roku 1930.

t. w.

Czy wiecie?

Z KRAJU.

— Ministerstwo spraw wojsk. nie poprze lotu transatlantyckiego przed lotem mj. Kubali i Idzikowskiego.

— Zysk Banku Polskiego w roku 1928 wynosi 36 miljonów zł.

— W Sejmie polskim zakończono dyskusję nad budżetem państwa na rok 1929/30 oraz nad rewizją konstytucji.

— Ustąpił minister sprawiedliwości Al. Meysztowicz, jego miejsce zajął dotychczasowy wiceminister Stanisław Car.

— Pan Prezydent N. Rzpltej przebył parę tygodni w Zakopanem. Pani Piłsudska z dziećmi wyjechała do Krynicy.

— Pan minister Zaleski wygłosił exposé na komisji zagranicznej Sejmu, w którem podkreślił, że troska o rozwój normalnych stosunków i o utrzymanie pokoju, to naczelne i zasadnicze cechy naszej polityki zagranicznej.

— Ministerstwo poczt i telegrafów przystępuje do budowy wielkiej magistrali podziemnych kabli telefonicznych Warszawa—Śląsk—Kraków.

— Nadeszły z Rosji nowe zabytki: berło króla Władysława IV, regalja królewskie Aleksandra I i Mikołaja I jako królów polskich, oryginał konstytucji z 1815 r. i inne.

— Budżet państwa przewiduje na cele sportowe $9^1/_2$ miljona złotych na rok 1929/30.

— Cała zatoka Pucka i część portów w Gdyni i Gdańsku pokryła się lodem tak, że komunikacja możliwa jest tylko przy pomocy holowników jako łamaczy lodów.

— W całej Europie panowały mrozy jakich nie notowano od 150 lat. Dochodziły one w Polsce do -47^0 C.

Z ZAGRANICY.

— W Anglji coraz więcej się mówi o rozpoczęciu przygotowań do budowy tunelu popod kanałem La Manche. Tunel ma być budowany w ten sposób, że w każdej chwili może być wypełniany gazami trującemi lub zalany wodą. W ten sposób Anglja pozostawałaby dalej w „splendite isolation", tunelem prowadziłaby kolej z Dover do Calais. Tunel będzie miał 40 km. długości i będzie kosztował 1 i $^1/_2$ miljarda złotych.

— Jenerał Nobile ogłosił sprawozdanie z lotu do bieguna w prasie amerykańskiej. We Włoszech bowiem zakazano mu drukować.

— Marszałek Foch był poważnie chory. W stanie jego choroby ostatnio nastąpiło polepszenie. Z polskich, paryskich lekarzy był przy łożu chorego Dr Babiński, jego przyjaciel.

— „Reviev of Revievs", angielskie pismo ogłosiło tekst memorjału ministra obrony krajowej, niemieckiego Groenera, z którego dowiadujemy się, że pancerniki „A" są budowane wyłącznie przeciw Polsce. Sprawa ta wywołała w Europie wielkie poruszenie. Pancerniki bowiem miałyby na wypadek wojny opanować Bałtyk i zniszczyć Gdynię.

— Na Litwie ma podobno ustąpić p. Waldemaras. Powołanym ma być prof. Bistras, przedstawiciel Chrześc. Demokr. (?).

— W Australji w stepach Wiktorji i N. Połd. Walji z powodu upałów wybuchł pożar o olbrzymich rozmiarach. Również w Górach Błękitnych w pobliżu Sidney wybuchł pożar. Są one postrachem dla farmerów, którzy zostali płomieniami od świata odcięci.

— Rząd angielski buduje próbny aeroplan z materjału zw. „plass", który posiada tę właściwość, że jest przeźroczysty i elastyczny. Ponieważ w samolocie takim tylko motor będzie nieprzeźroczysty, trudno go będzie dostrzec.

ZBLIŻENIE NARODÓW.

— Między Polską a Austrją istnieje możliwość wybuchu wojny „świńskiej". Jak wiadomo, Polska rokrocznie eksportuje miljon sześćkroćstotysięcy świń do Niemiec, Czech i Austrji i t. d. Austrja chce podnieść cła na świnie polskie o 100%.

— Między Polską a Z. S. S. R. nastąpiła wymiana not w sprawie przystąpienia do paktu o nieagresję. Polska podpisała w Moskwie pakt o nieagresji wraz z Rumunją oraz państwami bałtyckiemi.

— Ameryka ratyfikowała pakt Kelloga bez zastrzeżeń 98 głosami przeciw jednemu głosowi senatora Boraha.

— Paragwaj i Boliwja podpisały 3 stycznia w Waszyngtonie protokół pojednania, zatarg więc zbrojny został załagodzony.

— W styczniu doszło nareszcie do podpisania tymczasowej umowy drzewnej między Polską a Niemcami. Obie strony są do traktatu handlowego przychylnie nastrojone, na skutek czego może on być wkrótce podpisanym.

LITERATURA, NAUKA, TECHNIKA.

— W maju 1929 roku przypada 300-a rocznica śmierci wielkiego poety Szymona Szymonowicza. Dla uczczenia tej rocznicy powstał specjalny komitet w Zamościu, gdzie Szymonowicz był współtwórcą akademji.

— W Warszawie odbył się uroczysty obchód 150-ej rocznicy urodzin znakomitego filozofa i matematyka polskiego, Józefa Hoene-Wrońskiego.

— W filarze kościoła św. Krzyża w Warszawie ma być urządzona wnęka, gdzie stanie urna z sercem Reymonta.

— Paderewski zamówił u rzeźbiarza amerykańskiego, Bergluma, dla Poznania pomnik Wilsona. W czasie Wystawy Krajowej ma nastąpić jego odsłonięcie, prawdopodobnie na placu Wolności.

— 200 lat minęło w styczniu od czasu, gdy na świat przyszedł Gotthold Ephraim Lessing, jeden z wielkich niemieckich poetów XVIII w.

— W Konstantynopolu wszystkie osoby od 16 do 45 roku życia muszą odbyć kurs czytania i pisania w nowozaprowadzonym alfabecie łacińskim.

— Nazaret, słynne biblijne miasteczko, otrzyma w bieżącym roku oświetlenie elektryczne. Obecnie liczy ono 6 tysięcy ludności.

— Dzienniki tureckie od 1 grudnia ukazują się drukowane alfabetem łacińskim.

— Z powodu stulecia śmierci Schuberta, znakomitego muzyka, rząd węgierski ma wypuścić monety z jego portretem.

— W Indjach na pograniczu Nepalu otwarto nową sieć kanałów długości blisko 7 tysięcy km, obejmującą 7 miljonów akrów ziemi, czyli tyle, ile uprawna powierzchnia Egiptu. Budowa trwała 8 lat. Jest to największy system kanałowy na świecie.

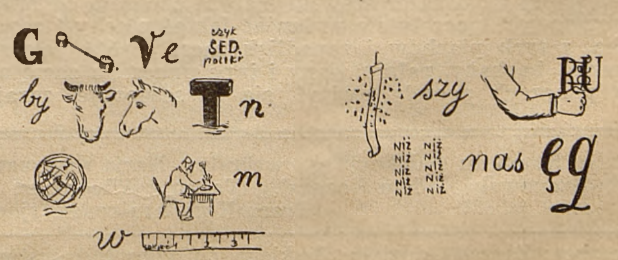
— 11 grudnia w Sztokholmie odbyło się uroczyste rozdanie nagród tegorocznym laureatom Nobla: niemieckim chemikom Wielandowi i Lindansowi, niemieckiemu lekarzowi Nicollowi, francuskiemu filozofowi Bergsonowi i szwedzkiej pisarce Sigrid Undset.

— Akademja Górnicza w Krakowie otrzymała dla działu hutniczego od przemysłu górnośląskiego hojny dar 1 miljona zł., złożony na ręce Prezydenta Mościckiego.

— Na posiedzeniu Państw. Rady Ochrony Przyrody dyskutowano nad niebezpieczeństwem, jakie może przynieść osuszenie Polesia. Na wniosek szeregu profesorów uniw. postanowiono zbadać naukowo, czy obniżenie wód gruntowych nie pociągnie za sobą wyschnięcia lasów i zamienienia się łąk i pól w lotne piaski, co się zdarza na płd. od Wilna w puszczy rudnickiej. W takim razie zyskane pod uprawę grunty mogłyby się stać pustkowiem.

— Przemysłowcy łódzcy zamierzają wybudować w Gdyni magazyn dla importowania wełny i założyć tu własną stację radjową. Dotychczas transport wełny odbywał się przez Bremę.

REBUSY.



Konkurs tropikalny.

Konkurs nasz przyniósł mnóstwo odpowiedzi mniej lub więcej fantastycznych.

Większość odpowiadających opisuje nam swe perypetje w formie snu, który był strasznie dziwny, a u niektórych kończył się guzami, spadnięciem z łóżka, i całym szeregiem okropności, które są tak strasznie niebezpieczne, że naprawdę cud tylko ratuje uczestników przed złamaniem karku i połamaniem rąk i nóg.

Bo gdybyż to tylko upadki z łóżka, no na to możnaby ostatecznie jeszcze przymknąć lewe oko, boć każdemu z nas w życiu taki wypadek się zdarzył, ale gorzej, gdy ma się do czynienia z upadkiem ze schodów, ze skokiem do piwnicy (aby tam ochłodzić się ogórkami) z wyłażeniem na wysokie drzewo podzwrotnikowe (zapewne stuletniego Baobaba), które nadomiar złego trzeszczy i wkońcu łamie się (bumtrrrrrach!). Wszystko to są rzeczy niebezpieczne, to też, Bogu dzięki, dokonywują się jedynie w sennych rojeniach, a jedynym ich efektem jest to, że śniący budzi się po nich spocony jak mysz.

Eldorado, jakie musiałoby u nas zapanować w razie zmiany klimatu, opisują niektórzy wielce barwnie i nastrojowo. Ktoś marzy, że: „z Indji sprowadziłby słonia, na którym odbywałby wycieczki w okolice Krakowa, a potem wyruszyłby na nim do Indji, aby o d w i e d z i ć tamtejszy klimat. Zaiste piękne projekty złożenia „wizyty" „klimatowi". A możeby lepiej było, nie czekając na zmianę klimatu, złożyć temu panu wizytę pod równikiem, a on potem czułby się w obowiązku nas rewizytować? Ktoś inny pisze: „Pod każdym krzakiem widaćby było minę kota czatującego na puszczy, lub słychać potężny ryk lwa". Tensam konkursista tropikalny pisze:

— Ach! ach! teraz już nie mogę — tak mi się miesza w głowie. — Lwy, tygrysy, koty na łowie.

Jak więc widzimy, nasz konkurs pomieszał klimat, ale nawet i „w głowie" niektórych, jak się do tego sami przyznają.

Inni snują smutne horoskopy na temat zmiany klimatu. „Ludzie chodziliby półnago, a praca umysłowa jak i fizyczna szłaby ociężale". Według innych, zmiana klimatu ucieszyłaby niewątpliwie jedynie alkoholików, którzyby wtenczas śpiewali hymn narodowy „Pije Kuba do Jakóba".

Wobec nawału prac redakcja była w prawdziwym kłopocie, aby ocenić i wybrać najlepsze z nich. Niestety w lokalu redakcyjnym nie panował bynajmniej klimat podzwrotnikowy. O nie! Zamarzł nam kompletnie atrament, a ręce grabiały, wobec czego sprawę musieliśmy załatwić szybko, bo przy —20° mrozie (na polu było —18). A zatem I nagrodę otrzymuje Józef Tomczyk, Chrzanów. Nagrodę II „Kociołek". Nagrodę III Irena Gajdówna, Mysłowice. IV Zygmunt Seweryn, Janów Podlaski. V J. Grodzicki, Wilno.

Coby było, gdyby nasz kapryśny klimat stał się naraz tropikalnym.

Na stole zamajaczyła kolumna konkursowa i dwoje oczu dobiegło po ciemnych miedzach liter do ostatniego kamienia granicznego: kropki. Oczy te żałowały, że niema nic więcej o owej nagłej zmianie naszego kapryśnego klimatu na tropikalny i dlatego długo wpatrywać się poczęły w ową kropkę. Z początku prócz niej nie widziały niczego, czemu się chytry właściciel ich wcale nie dziwił, był bowiem chłopcem, rozsądnym chłopcem, a z Cycerona, Kranza i sp. zdołał już tyle zaczerpnąć mądrości, że nie spodziewał się zobaczyć na miejscu kropki ani starego rzezimieszka Katyliny, kwadratowego pierwiastka z $x^2 + y^3$.

Teraz jednak musiało coś się stać, bo oto z kropki poczęły wypływać coraz szersze koła, podobne kręgom na wodzie, gdy w zadumaną żabę na jej powierzchni rzuci z wdziękiem terminator szewski starym obcasem od buta. Z kręgów tych poczęły się wyłaniać jakieś piachy i zapadliska, z tych piachów i zapadlisk zaczęły rość, jak na komendę, baobaby, palmy, ljany i inne pnącze, a zasię na tych pnączach poczęły uwijać się niesamowite zgraje małp, podczas gdy niżej nadobne hipopotamy z rozkoszą pluskały się w bagnie. Wyglądało to mniejwięcej tak, jak gdyby ktoś ogromne drzewko wigilijne ubrał w ogromną ilość pajaców, zaś pod nim postawił talerz ze śliwkowym sosem i pływającemi w nim kluskami.

Wogóle poczęły dziać się straszne rzeczy: na polu obok poważnej babci-gruszy jawiły się jak grzyby po deszczu drzewa mangowe i eukaliptusy; w lesie obok białych brzóz wyrosły olbrzymie paprocie, czem przestraszone wrony pozabierały swe Lary i Penaty i alarmując siostrzyce poczęły wynosić się na północ. Nosorożec przechadzający się na łące do tego stopnia przestraszył Maćkowe cielę, że uciekło do obory, zapomniawszy nawet tradycyjnego zadarcia ogona.

Słońce sumiennie jęło wysuszać wszystkie studnie i stawy. Powietrze stało się wnet tak skwarne, że w piasku możnaby było ugotować jajko na miękko. Wobec tego chytry właściciel mądrych oczu poczuł się zmuszonym do opuszczenia swego stanowiska w kupie piachu, gdyż jako chłopiec rozsądny nie chciał ugotować się na miękko. Rozpoczął więc poszukiwania za cieniem z równą pogodą, z jaką wczoraj szukał niewiadomej „x", i po krótkiej chwili znalazł rozwiązanie równania pod rozłożystą palmą. Znalazł tam już swych pięciu serdecznych kolegów oraz Redaktora od konkursów. Chłopaki cieszyli się serdecznie, że wakacje będą teraz od 1-szego stycznia do 31 grudnia, bo jest gorąco, a Redaktor od konkursów palił fajkę i przewracał oczyma. Poprostu żałował, że kiedyś tam dał konkurs z ciekawości, coby było, gdyby nasz klimat stał się tropikalny, i tem wyciągnął wilka z lasu. Wiadomo bowiem czem jest ciekawość i czy Sahara nie jest podobna do piekła. Z nosa kapały mu coraz większe krople potu, z początku małe, później wielkości pomidora ba! dyni!

Z powodu tej kanikuły chłopaki poszły się kąpać do rzeki, ale Redaktor od konkursów nie chciał narażać się swej mądrej osobistości na pożarcie przez krokodyle. Czynił zaś to z obawy o swój konkurs tropikalny, bo któżby przeznaczał nagrody i wymyślał nowe konkursy?

Nie mogąc więc iść do kąpieli, chciał przynajmniej wydrapać się na stuletniego baobaba, i już był prawie u celu, gdy nadbiegli jego chłopcy i poczęli tańczyć pląsy wojenne tam — tam. Byli odpowiednio do tej uroczystości umorusani i paradowali w stroju pradziadka Adama, gdyż tak im się spieszyło, że zapomnieli włożyć na siebie ubranie.

Chytry właściciel mądrych oczu zdążył już nawet postarać się o wybicie przednich zębów, i przekłuł sobie dolną wargę czerwonem drewnem, co miało być odznaką wodza. Drugi, przypominający nieco wyglądem przystojnego orangutanga miał wyhandlowany niewiadomo od kogo i za co naszyjnik z ludzkich zębów. Inni również udekorowali się jak mogli: w małpie skóry, w pudełka od pasty. Bóg wie jakim cudem zdobyte, a jeden nawet okulary Redaktora od konkursów powiesił sobie w okolicy żołądka.

Nagle ten z naszyjnikiem z ludzkich zębów wrzasnął: Biała człowiek! Zjeść biała człowiek! A wówczas Redaktor od konkursów również wrzasnął. I choć był biały, wrzasnął tą samą tonacją, co czarny, gdy chcą z niego zrobić potrawkę. Na ten odgłos umarło w oborce Maćkowe cielę, kiwnąwszy światu na pożegnanie poraz ostatni ogonem, a Chaim Reich, pejsaty żyd, sprzedający kremy i lody, podniósł w dwójnasób ich cenę, albowiem się przekonał, że rzeczywiście „robi interes, jak w Afryce".

Zaś dzielni wojownicy Żaba-Żaba i Manciu-Manciu zbliżyli się do Redaktora od konkursów o tyle, że każdy mógł własną ręką wyrwać mu z czupryny dwa tysiące pięćset włosów. I tu znów nieszczęsna ofiara chciała wrzasnąć i poraz drugi miały podskoczyć ceny lodów u Chajma, gdy w tem z kałamarza Redaktora od konkursów, który znalazł się na ziemi, począł gramolić się cudowny okaz krokodyla. Krokodyl ten objawił wyraźną chęć pożarcia chłopaka z mądremi oczyma, tak wyraźną, że chytry chłopak z kolei wrzasnął najstraszniej i najtrwożniej. I oto... czarny ląd począł się kurczyć, palmy, małpy, krokodyle, hipopotamy ginąć, a cała parada stała się znowu kropką po kolumnie konkursowej. *Józef Tomczyk.*

W skład Komitetu redakcyjnego wchodzą: Marja Kapiszewska, Jadwiga Laszczkówna, Jan Grzbiela, Henryk Kapiszewski, Adam Kossowski, Adam Kozaczka, Tadeusz Wąsowicz, Marjan Wierzbiański, Adam Wiliński, Jan Kazimierz Zaremba. Pracą Komitetu redakcyjnego kieruje Marjan Wierzbiański.

Wydawca: Zarząd Oddziału Śląskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Redaktor odpow.: Henryk Kapiszewski.
Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika.

ZAGADKI.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9—10.

1. Szarada: szarada.

2. Zagadka.

					k					
				r	a	k				
			p	a	l	m	a			
		d	e	l	e	g	a	t		
	p	e	n	s	j	o	n	a	t	
k	a	l	e	j	d	o	s	k	o	p
	p	a	n	t	o	m	i	n	a	
		p	r	o	s	t	a	k		
			s	z	k	o	t			
				t	o	r				
					p					

3. Krzyżówka.

M	a	r	a	t	o	n	■	s
■	i	■	s	o	k	■	m	a
o	d	a	■	r	o	m	a	n
m	a	r	a	■	■	a	r	■
e	■	m	n	■	a	r	a	k
g	■	e	n	■	n	n	■	o
a	r	n	o	■	n	a	■	l
■	c	j	■	■	a	r	a	b
k	l	a	r	a	■	a	r	a
r	a	■	u	l	e	■	a	■
y	■	A	m	e	r	y	k	a

Za rozwiązanie zagadek z Nru 9—10 Redakcja przyznała — jako nagrody — Irenie Gajdównej z Mysłowic, oraz M. Malikównej z Jarosławia — książki, które administracja równocześnie wysyła.

Nowe zagadki.

1. Zagadka matematyczna.

Za rozwiązanie rebusu przeznaczyła redakcja 3 nagrody — wynoszące razem 425 ślicznych widokówek malarzy polskich. I-sza nagroda ma wynosić $1/2$ tych widokówek, II-ga — $1/3$, III-cia zaś $1/9$ wszystkich. Jak rozdzielić nagrody, by każdy otrzymał część wyznaczoną; suma zaś nagród wynosiła dokładnie 425, a pojedynczych widokówek nie niszczono, dzieląc je na części. Prosimy o radę. (Zwracam uwagę na niewłaściwość prób ściśle matematycznego rozwiązania, gdyż zadanie tylko w jednej części uznaje matematyczną ścisłość).

2. Szarada.

Gdy jestem dobra, szczęściem błyszczy oko,
Gdy zła niekiedy, ranię was głęboko.
Gdy płocha zlecę, znają mię szeroko,
Równam się bajkom i rosnę wysoko,
To całe imię, gdym drugie i trzecie
Sam Bóg i ludzie, karzą mię jak wiecie
Z drugiem znów pierwsze, wszyscy chętnie piją,
Też ksiądz w kościele, Turków za to biją.
I cóż to będzie, pyta matka syna?

3. Logogryf przyrodniczy (A. Kopel — Mikołów).

Znaczenie wyrazów: 1) Ptak drapieżny dzienny. 2) Ptak z wróblowatych. 3) Ssak tatrzański. 4) Ryby (jeden gatunek). 5) Ptak budujący gniazda nad wodą. 6) Gromada kręgowych. 7) Ptak znany dawniej z polowań. — Środkowy rząd — zwierzę drapieżne z Kanady.

4. Zagadka (podał B. Długosz — Kraków).

a) N. Satalecki. *c)* U. Trzemeski.
b) N. J. Kurecki. *d)* W. Rzymicka.
e) Artur B. Senimski.

Litery nazwisk poprzestawiać tak, by utworzyły określone zawody ludzkie.

5. Zadanie geograficzne (Zb. Preiss).

■ ■ ■ ■ ■
\+ + + + +
\+ + + + +
\+ +   + +

Wyrazy wstawione w miejsce kwadratów i krzyżyków dadzą:
W szeregu poziomym pierwszym rzekę we Francji, w szeregach pionowych: 1) rzekę w Małopolsce; 2) rzekę w Niemczech; 3) rzekę w Rosji; 4) rzekę we Włoszech; 5) rzekę w Rosji.

6. Łamigłówka.

Znając zakończenia: 1) — ir; 2) — ar; 3) — an; 4) — awa, wstawiając w miejsce kresek odpowiednie dźwięki, utworzyć:
z 1) 3 wyrazy z 3) 7 wyrazów
z 2) 9 wyrazów z 4) 7 wyrazów.

7. Zagadka.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery tak, by powstało 11 wyrazów czteroliterowych w kierunku pionowym. Pierwszy rząd poziomy da nazwisko znanej nam dobrze osobistości.

Znaczenie wyrazów: 1) instytucja finansowa, 2) mieszkanie Noego, 3) przyrząd sportowy, 4) imię męskie, 5) inaczej pole uprawne, 6) duży ogród, 7) inaczej dawniej, 8) inaczej nieprzyjaciel, 9) ogród rozkoszy, 10) instrument muzyczny, 11) gruby, mocny sznur.

8. Odczytajcie tak dobrze wam znane przysłowia:
(Zb. Preiss — Kraków).

a) K — — d — w — jdz — — sz m — — dz — wr — n — m — s — sz kr — k — ć j — k — n —
b) Gdz — — k — ch — rz — sz — ść, t — m n — — m — c — j — ść.
c) — — o — a — o — — a — e — e — u — a - — ó — — a — e.
d) — ie — — — — e — o — y — a — — o — y.
e) — — u — — — u — o — i o — a — ie — — y — o — e.
f) — — — e — — o — — y — i — — — ie u — y — e.

Termin nadsyłania rozwiązań do 20 lutego 1929 r.

KĄCIK HUMORU.

Dwóch podróżnych opowiada sobie swe wrażenia z podróży:
A.: — Tak mglistej miejscowości, jak Londyn, nie widziałem na świecie!
B.: — O, nic wielkiego. Ja widziałem!
A.: — O! Gdzież to i co to było?
B.: — Nie mam pojęcia — tak było zamglone!

WIĘKSZY, CZY DŁUŻSZY?

Napoleon nie mógł raz zdjąć kapelusza z wieszadła.
Usłużny oficer, podając mu: — Sire, jestem większy!
— Większy chyba nie, tylko dłuższy — stwierdził spokojnie Napoleon.



Karpaty Ławocznianskie: Stoh.

Zwracając się do Redakcji, pisz wyraźnie, tylko na jednej stronie i zostaw margines.

„Na Tropie" wychodzi 15 każdego miesiąca.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Mickiewicza 10. — Konto w P. K. O. 305.330

Oddziały Redakcji: Kraków, Szewska 12, I p. „Len". — Warszawa, Chmielna 26, Tel. 402—33.

Cena numeru 50 groszy. Prenumerata dwumiesięczna 1·— zł., kwartalna 1·50 zł., półroczna 3·— zł., roczna 6·— zł.